№ 5. Warszawa, dnia 3 Lutego (22 Stycznia) 1883 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Ekspedycya *Ogniska* na prowincyę została już ukończoną. Gdyby więc ktokolwiek z abonentów nie otrzymał, zechce nas możliwie najprędzej uwiadomić. Prenumeratorzy miejscowi odebrać mogą książkę za okazaniem kwitu w administracyi naszej lub księgarni, do której wnieśli przedpłatę.

NIEUSTAJĄCE PRZYMIERZE.

Zaledwie w kolumnach dzienników umilkł alarm, zapowiadający „bliską wojnę," w której jedną stronę stanowić miała Rosya a drugą nieokreślone bliżej „mocarstwo sąsiednie," aż tu znowu z tychże samych organów odzywają się zapewnienia o szczerej przyjaźni, uświęconej kiedyś trójcesarskiem przymierzem. Czytelnicy pamiętają, że ostatnim pogłoskom wojennym odmówiliśmy odrazu wszelkiej wiary, uważając je za garść piasku, rzuconego ręką ks. Bismarka dla zasypania oczu zwróconych na jego zamiary. Kurzawa ta jak szybko powstała, tak szybko znikła, ustąpiwszy miejsca szerokiemu prądowi, łączącemu przyjaźnie trzy zbratane państwa.

Podróż rosyjskiego ministra spraw zagranicznych, a zwłaszcza jego pobyt w Wiedniu, według zapewnień prasy zagranicznej, ścieśnił dawne, rozluźnione, ale od kilkunastu lat ani razu nie zerwane węzły. Dostojnik petersburski doznał szczególnego odznaczenia w Wiedniu, większego—jak twierdzą telegramy warszawskie — niż swojego czasu ks. Bismark, co miało sprawić dobre wrażenie w Berlinie. Jeśli komu potrzeba było jeszcze dowodów niemiecko-austryacko-rosyjskiego porozumienia — to ma je w należytej liczbie.

Byłoby śmiesznością obecnym stosunkom międzypaństwowym przyznawać trwałość wieczną i przeczyć możliwości starcia między trzema sąsiadami; nie popełnimy wszakże chyba przesady, twierdząc, że siła wzroku dzisiejszej generacyi nie dostrzega owego punktu, na którym ono nastąpi. Dziś widzimy przedewszystkiem spójnię, i jeżeli nawet stosunki na chwilę się zaostrzą, to natychmiast tak je ułagodzi wspólność interesów, że o chronicznem rozdrażnieniu mówić trudno. Od wieku przeszło Austrya, Rosya i Niemcy, mimo kilkakrotnych walk i odskoków, postępują łącznie tak dalece, że właściwie akt przymierza trójcesarskiego nosi na sobie przedstuletnią datę. Za wątłe też i realnej podstawy pozbawione uważamy wszelkie kombinacye polityczne, które na rozdarciu tego aktu budują swe plany. Chwiejność owych zamków na lodzie dlatego wartą jest przypominania, że niejedna fantastyczna bajka w nich składa niespełnione dotąd a chętnie powtarzane proroctwa. Słyszymy ciągle o nieuniknionej konieczności starcia się germanizmu ze słowianizmem, która ma być nieustającą racyą przepowiadanych na wschodzie Europy wojen. Ta przyszła walka politycznego Ormuzda z Arimanem byłaby dość zrozumiałą, gdyby jej bohaterowie istnieli. Tymczasem zgodziwszy się nawet na dojrzewanie germanizmu jako jednego, spojonego ciała, gdzież jest słowianizm? Czy ten wijący się z południa na północo-wschód olbrzymi wąż, pocięty na mnóstwo kawałków, z których każdy w inną stronę skacze? Czy Słowiańszczyzną (w znaczeniu politycznem) ma się nazywać ta rzesza narodów najrozmaitszego charakteru i stopnia cywilizacyjnego? Czy podobna widzieć jednorodną masę w mieszaninie, składającej się z tak odmiennych pierwiastków, jak: słowieńcy, słowacy, serbowie, bulgarowie, czesi, rusini, polacy, rosyanie itd? Wszystkie te gałęzie wyrosły ze wspólnego pnia, ale jakaż różnica w ich rozwoju i położeniu! Do rozmaitych języków przybyły rozmaite wiary, obyczaje, ustroje wewnętrzne i warunki zewnętrzne. Czy widzimy jakąkolwiek siłę potężną, którąby je zdołała zjednoczyć? Bynajmniej. Słyszymy tylko pobożne życzenia i teoretyczne wywody, które krążą między marzycielami jak pieniążki z napisem *l'union fait la force*, ale praktycznych usiłowań w tym kierunku dostrzedz niepodobna. Przeciwnie, ujawniają się ciągle rozterki w t. z. „rodzinie słowiańskiej," głęboko wkorzenione nienawiści, separacye i rozwody lub gorszące kłótnie. Wyrazem najdoskonalszej zgody bywa co najwyżej ratowanie własnego bytu bez szkody brata. Do tego jedynie obecna „Słowiańszczyzna" wznieść się może. Nie wytworzył się w niej prąd ku jedności na podstawie równouprawnienia, wzajemnego uwzględnienia słusznych interesów i poszanowania naturalnych potrzeb, a natomiast zdradza się ciągle chęć pochłaniania.

Wobec takiego rozbicia i nieprzyjaźni, czy można mówić o „Słowiańczyźnie," o jej rozprawie z germanizmem? Chyba we śnie. Trzeba naprzód pogodzić zwaśnione żywioły, zanim one będą mogły wystąpić solidarnie przeciw wspólnemu wrogowi. Dopóki „Słowiańszczyzna" będzie pojęciem abstrakcyjnem, syntezą niezmiernie oddalonych pokrewieństw, dopóty bałamuci siebie i drugich ten, kto rozpuszcza jej wojenny sztandar do pochodu przeciw germanizmowi.

Rosya ani nie może podnosić tego sztandaru, ani go nie podniosła, niema więc potrzeby zmieniać swych stosunków względem dwu mocarstw sąsiednich. Najzupełniej wierzymy, że w obu fałdach jej togi owinięty pokój a w zamiarach chęć utrzymania troistego, nieustającego przymierza.

Mogą sobie inaczej do ucha szeptać polity-cy w cukierniach, ale to rzeczy nie zmieni.

DWA NIESZCZĘŚCIA.

Żyjemy w czasie, który mógłby wskrzesić średniowiecznych wróżbitów. Można przypuścić nawet, że w nizinach społeczeństw, tam, skąd myśl najchętniej do sfer niebieskich się wyrywa i wypadki wpływami nadziemskimi tłomaczy, powstali już prorocy, którzy z niezwykłych znaków naszej doby wywodzą swe groźne przepowiednie. Nie dziwmy się im. Od kilkunastu lat Europą trzęsie nieuleczona febra, olbrzymie państwa walą się, drobne nagle wyrastają jak góry, narody rzucają się w konwulsyach, całe gromady ludzi palą się lub toną. Każdy z tych wypadków pojedynczo nie budziłby strachu, ale wszystkie razem połączone, tworzą nad życiem jakąś czarną chmurę, z której odzywa się grzmot przerażający.

Na karcie zdarzeń współczesnych zapisały się znowu dwa poważne nieszczęścia. Gazety codzienne już poznajomiły czytelników naszych z obrazem wielkiego stosu, na którym spłonęło 200 kilkadziesiąt rozpoznanych i tyleż podobno nierozpoznanych ofiar.

Katastrofa w Ringteatrze, która, zdawało się, długo nie będzie miała sobie równej, zbladła przy całopaleniu berdyczewskiem. Kto zaręczy, że to najwyższy stopień nieszczęścia w tym rodzaju i że jeszcze nie doczekamy widoku potworniejszego? Trzeźwa myśl traci grunt w przewidywaniu, tylko wyobraźnia bujać może. Rzecz dziwna, jak trudno ludziom, nawet pouczonym przez okropne doświadczenia, sięgać głębiej do przyczyn złego. Nad świeżo zgaszonemi zgliszczami cyrku berdyczewskiego dumają oni, skąd ogień wybuchł i kto był winowajcą? Zostawmy raz sędziom śledczym i policyi to, co tylko do nich należy. Przypuśćmy, że już odkryliśmy iskrę, która zapaliła budynek, że już osadziliśmy w kozie niedbalców i przestępców — czyż to pomoże spalonym i uchroni od niebezpieczeństwa żywych? Prasa, ludzie, rozmyślający nad niebezpieczeństwem publicznem, nie o to pytać winni, kto stał się pośrednim lub bezpośrednim powodem pożaru cyrku w Berdyczewie, ale co umożliwia podobne wypadki wogóle. Niemcy po katastrofie wiedeńskiej wyznali szczerze: niedozór i lekceważenie obowiązków. Do jakiej potęgi trzeba podnieść te wyrazy, chcąc określić źródło złego po klęsce berdyczewskiej! Znamy wszyscy dwa całkiem odrębne światy: ścisłych przepisów na papierze i luźnych robót w rzeczywistości. Każde przedsięwzięcie pozostaje pod nadzorem aż do przesady troskliwego prawa, którego organa funkcyonują ustawicznie, ale ich czynność, skutecznie zamagnetyzowana, usypia łatwo i budzi się aż wtenczas, gdy zabrzmi alarm. Dzięki tej hypnotyzacyi, której język popularny nadał dosadniejszą nazwę, kasyer jakiegoś banku (Moskwa) może komisyi rewizyjnej zamiast banknotów pokazywać zwitki starych gazet, dyrektor komory (Taganrog) może w swej kieszeni topić setki tysięcy rubli, a municypalność tolerować istnienie teatrów zbudowanych z zapałek. Wobec tej możliwości, o co się dopominać, kiedy jest tylu Efialtesów, którzy nieprzyjacielowi wskażą ścieżkę do objęcia góry — prawa? Jest to charakterystycznem, że w najdolegliwszych kwestyach wszystkie drogi rozumowań prowadzą do jednego z dwu Rzymów: albo prawa zmienić, albo nauczyć je szanować. Wtedy również kasyerzy nie będą kraść, a budynki publiczne palić się. Bez tego nie pomogą najściślejsze śledztwa i najsurowsze kary. Cyrk w Berdyczewie spłonął nie dlatego, że latarka pękła w stajni, że akrobata zaprószył ogień w liny, że pozostawiono tylko jedne drzwi, że straż przybyła za późno i nietrzeźwa, ale dlatego, że brak odpowiednich przepisów lub brak sumienności w ich wykonywaniu.

* * *

Niewątpliwie, niemcy są skrupulatniejsi a jednak spadają na nich równe nieszczęścia.

Prawda, ale zobaczymy, jaką z nich wyciągają naukę. Na morzu Północnem rozegrał się jeden z najstraszniejszych dramatów, jakie zamknął w swem łonie Ocean. Statek „Cymbria,“ płynący z Hamburga do New-Yorku, spotkał się z parowcem angielskim „Sułtan“ i przebity utonął. Przeszło czterysta osób pochłonęły fale, a podobno także kilku naszych rodaków. Uratowani opowiadają w gazetach szczegóły wstrząsające. Gdy statek zaczął opadać, wszyscy rzucili się do spuszczania łodzi. Trzy tylko zdołano odciąć a i z tych dwie przepełnione ratującymi się zatonęły. Kapitan i oficerowie okrętu ani na chwilę nie pomyśleli o ratunku własnym — pomagali tylko innym, dopóki ich fala z zanurzonego pokładu nie zmiotła. Ocalali ci jedynie, którzy zdobyli szczęśliwą łódź, oraz ci, którzy wdrapawszy się na wystający z morza maszt, zawiśli na nim. Dwanaście godzin przebyli tak uczepieni śród nocy, bez nadziei doczekania się przejeżdżającego statku, mając pod stopami straszny grób, który pochłonął drogie osoby wielu z nich. Niektórzy z rozpaczy rzucali się w morze, nad niektórymi zlitowała się fala i doniosła żywych, walczących ze śmiercią do łodzi. Nareszcie przypadkowo jadący okręt zabrał rozbitków.

Który z kapitanów, żywy czy umarły winien — sąd bada. Prasa natomiast stara się wykazać ujemne strony dotychczasowych przepisów żeglugi morskiej, umożliwiających tego rodzaju spotkania. Jak wiadomo, następują one podczas mgły, niepozwalającej widzieć sygnałów latarniowych, które jedynie zdolne są przebić swymi promieniami mgłę i zapobiedz niebezpiecznym starciom. Tym sposobem nieszczęście stanie się pobudką do ulepszeń i rozstrzygającym argumentem na korzyść wynalazku.

Taką naukę ze smutnych doświadczeń wyciągają narody ucywilizowane.

Cóż słyszymy po katastrofie berdyczewskiej? Gazety bąkają tylko o — zakazach. Wiecznie zakazy! Cobyśmy rzekli o niemcach, gdyby ci pod wpływem rozbicia „Cymbryi“ zabronili statkom płynąć przez morze w nocy?

Ojciec Szymona

przez

Guy de Maupassanta.

Wybiła dwunasta. Drzwi szkoły się otworzyły i wybiegli tłumnie chłopcy, cisnąc się i potrącając, aby jak najprędzej być na dworze. Zamiast jednak, jak zwykle, szybko podążyć do domu na obiad, stanęli grupami w oddaleniu, szepcząc coś pomiędzy sobą. Tego ranka bowiem przyszedł Szymon, syn Blanchetty, po raz pierwszy do szkoły.

Słyszeli oni wszyscy w domu o Blanchecie, a choć każdy grzecznie spotykał ją na ulicy, matki ich, pomiędzy sobą, odzywały się o niej z pewnym rodzajem pogardliwego politowania, bezwiednie udzielającego się dzieciom.

Dzieci nie znały Szymona. Nie wychodził nigdy i nie biegał z niemi po ulicach wioski lub nad brzegiem rzeki. Nie cierpiały go dlatego. Z pewną radością, a zarazem zdziwieniem szeptał jeden drugiemu słowa 14 lub 15 letniego wyrostka, który, jak można było wnosić z przebiegłego wyrazu twarzy, więcej zdawał się wiedzieć od innych.

— Wiecie, Szymon, ot, ten niema ojca.

W tejże chwili syn Blanchetty ukazał się na progu szkolnych drzwi.

Zdawał się mieć 7 lub 8 lat. Był trochę przybladły, bardzo czysto ubrany i wyglądał skromnie, prawie nieśmiało.

Chciał wrócić do matki, lecz koledzy, szepcząc wciąż i rzucając nań okrutne i urągające spojrzenia, jakie miewają dzieci, gotujące się do złego czynu, zbliżali się coraz więcej, aż go otoczyli kołem.

Ujrzał się w środku zdziwiony, zakłopotany, nie rozumiejąc, czego od niego żądają, gdy wyrostek, dumny tylko co odniesionem zwycięstwem, zapytał go:

— Jak się nazywasz? Ty?

— Szymon — odpowiedział.

— Szymon — jaki?

Zmięszane dziecko powtórzyło: „Szymon.“

— Każdy się nazywa Szymon, taki lub taki — krzyknął wyrostek — to wcale nie nazwisko: Szymon!

Chłopczyna bliski płaczu po raz trzeci powtórzył:

— Nazywam się Szymon.

Wszyscy się rozśmieli. Wyrostek tryumfująco zawołał podniesionym głosem:

— Widzicie, że on nie ma ojca!

Zapanowała cisza. Dzieci oszołomione były tym nadzwyczajnym, niebywałym, okropnym faktem: chłopiec niemający ojca. Przyglądały się temu zjawisku, tej nadnaturalnej istocie i czuły, jak pogarda dla Blanchetty, nieświadomie przejęta od matek, powoli w nich wzrastała.

Szymon oparł się o drzewo, by nie upaść; był przybity nieszczęściem, niedającem się odwrócić. Chciał coś odpowiedzieć, nie znalazł jednak nic, czemby mógł odeprzeć straszne twierdzenie, że nie ma ojca. W końcu trupio blady machinalnie zawołał:

— A jednak, mam ojca!

— Gdzież on jest? — spytał wyrostek.

Szymon zamilkł. Nie wiedział.

Rozweseleni, śmieli się chłopcy. Synowie pól, mało co umysłowo wyżej stojąc od zwierząt, uczuwali taką samą chęć okrucieństwa, jaka pobudza kury na dziedzińcu dobić swą zranioną towarzyszkę. Nagle spostrzegł Szymon małego sąsiada, syna wdowy, żyjącego, również jak on, samotnie z matką.

— I ty także — rzekł do niego — ty też nie masz ojca.

— A mam.

— Gdzie jest? — spytał szybko Szymon.

— Umarł — odrzekło dziecię dumnie — mój ojciec jest na cmentarzu.

Szmer zadowolenia dał się słyszeć pomiędzy chłopcami, jakby kolega, mający ojca na cmentarzu, urósł w ich oczach, by tem więcej przygnębić tego, który nie miał go wcale.

I ci niecponie, których ojcowie po większej części byli niegodziwcami, pijakami, złodziejami i bili swe żony, tłoczyli się coraz więcej, jakby chcąc zgnieść swym ciężarem tego, co nieprawnie urodzony sta-

Pesymizm i etyka.

I.

Charakterystycznem zjawiskiem w literaturze filozoficznej jest współczesne ukazanie się dwu, zupełnie jednakowo zatytułowanych i tymże nakładem wydanych dzieł, poświęconych rozbiorowi pesymizmu i jego wywodów praktycznych. Ostatnie lata wydały całą, stosunkowo bardzo bogatą literaturę tego przedmiotu; wśród niej prace, które nas zajmą, posiadają ważność, poddają krytyce przeważnie etykę myślicieli zrozpaczonych, a więc jej najpozytywniejszą część, interesującą zarówno tych, co się metafizyką wciąż jeszcze karmią, jak i tych, co się nią oddawna przesycili i znudzili. Autorami tych prac są Hugo Sommer i Paweł Christ; wspólny zaś tytuł brzmi: *Der Pessimismus und die Sittenlehre*.

Jeżeli porównywając oba traktaty, stosunek ich do siebie wyrazimy zdaniem matematycznem, iż treść Christowskiego równa się treści Sommerowskiego *plus* coś jeszcze, to określenie takie będzie niedokładnem w małym bardzo stopniu. Cała bowiem różnica polega na tem, iż H. Sommer połowę niemal książki poświęca rozbiorowi metafizyki Hartmanna. Trudno rzeczywiście pojąć, co mogło człowieka, ceniącego swój czas, skłonić do zagłębienia się w chorobliwe niemal, metafizyczne fantazye, których kardynalną cechą jest zupełny prawie brak jasności, a niekiedy nawet logiki. Podczas, gdy inni krytycy ograniczyli się na uwydatnieniu w niewielu słowach aż nadto dla poświęconych nawet widocznej niedorzeczności Hartmanowskich rojeń, Sommer z zamiłowaniem iście niemieckiego pedanta, przebiega krok za krokiem całą drogę rozwoju świata z nieświadomej woli i oderwanego wyobrażenia, widocznie dla tego, by liczbę swych nietrudnych tryumfów z wytykania ciągłych dziwactw pomnożyć do nieskończoności. Tego nudnego i męczącego rozumowania nie widzimy też potrzeby przytaczać, lecz zadowolnimy się po prostu zwięzłem streszczeniem metafizycznych podstaw pesymizmu, co jest niezbędnem dla rozumienia jego etyki, dedukcyjnie (tak przynajmniej ojcowie pesymizmu twierdzą) z tych podstaw wypływającej.

Otóż przyczynę wszechrzeczy stanowi według Schopenhauera i Hartmanna nieświadoma wola. Gdy wszakże pierwszy z nich zadowolnił się tym jednym pierwiastkiem świata, drugi dołączył doń jeszcze — wyobrażenie. Ślepa ta wola istniała początkowo tylko jako możność woli t. j. jako istota wcale dla umysłu ludzkiego niezrozumiała, gdyż trudno samą możność stania się kiedyś jakimś bytem określonym uważać za jego pierwotną dobę istnienia. Ow przygotowawczy stan istnienia woli, dręczony tęsknotą zaawansowania wreszcie na wolę prawdziwą, umiejącą chcieć, dopiął wreszcie swego; mianowicie wydobywszy na światło boże drzemiące gdzieś w ukryciu wyobrażenie, rodzaj Heglowskiej idei logicznej, stał się wolą wypełnioną, a powstanie świata jest właśnie wyrazem tego aktu. Naturalnie, że wola postąpiła tutaj sobie samowolnie, nie poprosiwszy wcale wyobrażenia czyli idei logicznej o pozwolenie, a że ta ostatnia w żadnym razie udzielić by go nie mogła, gdyż zadaniem idei logicznej jest utrzymanie każdego bytu w jednym stanie identyczności z sobą, przeto wola „strzeliła tutaj bąka,“ albowiem, przechodząc ze stanu przedistnienia w stan rzeczywistego istnienia pogwałciła prawo tożsamości. Dla czego Hartmann tym szczególnym przywilejem prawdziwości obdarzył nie jakiekolwiek inne prawo logiczne, jest rzeczą niepojętą dla niego samego, a tem bardziej, rozumie się, dla nas. Raz wpadłszy, trzeba się starać o naprawienie błędu, o doprowadzenie woli do jej pierwotnego stanu, pustego bytu. O tej *restitutio in integrum* pomyślało już wyobrażenie. Nie będąc w możności cofnięcia fałszywego kroku ślepej woli, „wpadło na myśl użycia fortelu“ — jak się wyraża Hartmann: oto rozpołowiło bezwzględną wolę na dwie odnogi, z których jedną obdarzyło świadomością, wcieliło w twory organicznej natury i kazało walczyć jej z pozostałą wolą nieświadomą. Tym sposobem ludzkość stworzona została na to, by, borykając się ze sprawczynią wszystkiego złego, stopniowo unicestwić ją przez unicestwienie siebie. Lecz widoczną jest rzeczą, że sprowadzając siebie do stanu niebytu, wola świadoma człowieka nie uczyni tego samego z nieskończoną, bezwiedną wolą.

Metafizyczne więc nieszczęście świata trwać nie przestanie, a tylko kosmiczne zniknie. Jeżeli więc podstęp logicznej idei tak mało ma przynieść korzyści, a raczej zostawać zupełnie jałowym, po cóż było się do niego uciekać? Zniknie jeden świadomy świat, powstanie drugi.

Zasadniczą cechą pierwotnej, czczej woli jest nienasycona tęsknota za realnością; pod jej wpływem będzie ona zawsze dążyła do stania się rzeczywistą wolą w postaci świata, tak iż cała tragi-komedya powtórzy się na nowo i powtarzać się będzie do nieskończości.

Wprawdzie Hartmann usiłuje za pomocą jakiegoś metafizycznego sofizmatu dowieść, iż szanse narodzenia się nowego świata z każdym unicestwionym zmniejszać się będą, lecz to nikogo bynajmniej nie przekonywa i pytanie zostaje bez odpowiedzi, jak i wiele innych, z których każde powinno było nasunąć się samemu twórcy systematu i skłonić go do zrzeczenia się swego arcydzieła. Jakim sposobem oderwana idea logiczna może zapełnić świat bogatą zjawiskową treścią i ująć ją, niby osobowy twórca, w harmonijne prawa, jakim sposobem ślepa, bezwiedna wola posiadać może wszelkie własności wszechmocnego bóstwa, inteligencyę, wszechwiedzę, wszechbyt i te moralne kapitały włożyć w nawskroś celowy ustrój świata, pozostanie dla wszystkich, niechcących na słowo wierzyć Hartmannowi, wieczną zagadką.

Filozof uległ widocznie optymistycznemu złudzeniu, jeżeli mniemał, że poprawił i ulepszył systemat swego poprzednika Schopenhauera; zwiększył on w nim tylko dozę sprzeczności i nieprawdopodobieństwa i tem samem zapewnił sobie niższość.

Czy, jak Schop. świat uważać będziemy za najgorszy ze światów, czy z Hartmannem za najlepszy, lecz mimo to nieznośny i niemożliwy — to rzeczy nie zmienia, jak słusznie zauważył Paweł Christ. Czy lekarstwo na niedolę świata widzieć będziemy w stopniowem stępianiu w sobie chęci do życia i zlania się ostatecznie z nicością

---

nowił wyjątek i nie używał równych z nimi praw.

Nagle najbliżej stojący Szymona z chytrym uśmiechem pokazał mu język i zawołał:

— Nie ma ojca, nie ma ojca!

Szymon za włosy go schwycił obiema rękami, nogami kopiąc nielitościwie, a w końcu w twarz ukąsił.

Zaczęła się bijatyka; dwaj walczący zostali rozdzieleni, a Szymon, zbity, z sińcami, z rozerwaną odzieżą leżał na ziemi w kole zwycięsko wykrzykujących chłopców.

Gdy wstał, machinalnie ręką kurz z zbrukanej bluzy otrzepując, jeden z chłopców dorzucił:

— Idź, opowiedz swemu ojcu.

Serce mu pękało. Oni byli silniejsi, zbili go, a nie mógł im nic odpowiedzieć; czuł bowiem, że to prawda, że on nie ma ojca!

Opierał się dumnie kilka sekund łzom, zaciskającym mu gardło. Zdawało mu się, że się dławi: potem wybuchł cichym płaczem i łkaniem, wstrząsającem całą jego istotą.

Dzika radość opanowała jego nieprzyjaciół. Idąc za popędem natury, jak to robią dzicy, upojeni okropną wesołością, schwycili się za ręce, tańcząc w koło niego i powtarzając zwrotkę: „nie ma ojca, nie ma ojca!“

Lecz Szymon nagle łkać przestał. Wściekły z gniewu, podniósł u nóg leżące kamienie i zaczął rzucać na ciemięzców. Trafił dwóch, czy trzech, którzy uciekli a wyglądał tak okropnie, że innych ogarnął strach paniczny. Jak zwykle tłum wobec jednego zrozpaczonego człowieka, tchórzliwie się rozpierzchli i pouciekali.

Pozostawszy sam, biedny chłopczyna bez ojca, pobiegł w pole. Jakieś wspomnienie ożyło w nim: postanowił utopić się w rzece.

Przypomniał sobie w istocie, że ubogi jakiś człowiek, żyjący z żebractwa, rzucił się w wodę tydzień temu, dlatego, że nie miał pieniędzy. Szymon widział, jak go wyciągnęli z wody, a smutny chłopak, którego spotykał zawsze niemiłosiernie brudnym i brzydkim, widział mu teraz spokojnem, cichem obliczem, blademi policzkami, mokrą brodą i szeroko rozwartemi spokojnemi oczyma. Ktoś z otoczenia szepnął: „umarł“ — „teraz jest szczęśliwym“ — dodał inny. I Szymon chciał się też utopić, bo nie miał ojca, tak jak ten nędzarz, który nie miał pieniędzy.

Podbiegł blisko wody i spojrzał w jej nurty. Kilka rybek płynęło na powierzchni w różne strony i wyskakiwało czasami, by schwycić muchy latające w powietrzu. Przestał płakać i przyglądał się. Zabawa ich zajmowała go bardzo. Od czasu do czasu jednak, jak podmuchy wiatru po uspokojonej burzy, poruszające drzewami i rozpraszające się na horyzoncie — wracała myśl dawna ze zdwojoną boleścią: „Utopię się, bo nie mam ojca.“

Powietrze było ciepło, śliczne. Słońce ogrzewało murawę. Woda szkliła się jak źwierciadło. Szymon czuł przez pewien czas zmęczenie i bezsilność, które są następstwem płaczu; miał wielką chęć położyć się i usnąć na murawie.

Mała zielona żabka prześliznęła się koło jego nóg.

Chciał ją schwycić. Uciekła. Pogonił za nią i trzy razy daremnie ją chwytał. Nakoniec złapał za nóżki tylne i roześmiał się, widząc usiłowania zwierzątka, chcącego się uwolnić. Oparło się na długich tylnych nogach; potem wyciągnęło je nagłym rzutem sztywnie jak pałeczki, poruszając przytem dużemi, żółto otoczonemi oczyma i machając przedniemi łapkami, niby rękami, w powietrzu. Przypomniało mu to zabawkę z wąskich w zygzak deseczek, wysuwających takimże ruchem przytwierdzonych do niej żołnierzy na musztrę. Potem pomyślał o domu, o matce i smutkiem głębokim przejęty zaczął znów płakać. Dreszcz go przejął; ukląkł i modlił się jak przed pójściem na spoczynek, ale nie mógł skończyć, bo zaczął łkać tak gwałtownie, że stracił przytomność.

Przestał myśleć; nie widział nic, co się w koło niego działo; płakał tylko.

Nagle ciężka ręka upadła mu na ramię i gruby głos zapytał:

— Cóż cię tak bardzo smuci, chłopcze?

Szymon się obejrzał. Wiejski robotnik o czarnej brodzie i czarnych kędzierzawych włosach patrzał na niego z dobrodusznym wyrazem.

Odpowiedział mu z oczyma pełnemi łez:

— Bili mnie... bo ja... nie mam... nie mam ojca... nie mam ojca!

na wzór fakirów indyjskich, czy też zbawienia szukać będziemy w jednorazowem, powszechnem całej ludzkości samobójstwie — jądro kwestyi pozostaje niezmienionem.

A nawet, uzupełniając systemat pesymizmu przez wyprowadzenie z niego wszelkich wniosków etycznych, historyozoficznych i socyologicznych, Hartmann znakomicie powiększył sumę sprzeczności, w samej metafizycznej części istniejących, o niemniej pokaźną ich liczbę między rozmaitemi częściami systematu. Dosyć rzucić okiem na szczególny związek przyczynowy, zachodzący między zrozpaczonym nawskroś poglądem na życie człowieka i z drugiej strony dążnością oparcia moralności ludzkiej na czysto idealistycznej podstawie, ażeby się przekonać, iż w całej tej fantastycznej mrzonce pierwiastek optymistyczny wcale nie ostatnią odgrywa rolę. Hartmann każe światu rozwijać się duchowo, by dosięgnąć mógł jaknajwyższego poziomu moralnego i intelektualnego dobra po to tylko... aby go uczynić możliwie wrażliwym na swą niedolę i łatwiej skłonić do skończenia raz na zawsze ze świadomym bytem ziemi. Stawia człowiekowi najszlachetniejsze ideały, najwznioślejsze cele, po to... ażeby w końcu bezwzględną śmiercią stał się odkupicielem cierpiącej nieświadomej woli. Gdyby etykę jego oderwać od spekulacyjnych podstaw, na których jest opartą, od celów, do których ma prowadzić — otrzymalibyśmy najpiękniejszą całość, na jaką tylko nieludzący się różowemi barwami i nierozpaczający nad skrzętnie wyszukiwaną niedolą świata umysł mógłby się zdobyć. Po cóż — zapytują Sommer i Christ — tyle hałasu o nic? po co zadawać sobie tyle trudu dla utkania tęczowej nieledwie przędzy ludzkich pragnień, by za ostateczną metę postawić im nicość? Po co kazać światu natężać wszystkie najszlachetniejsze siły i instynkta, przez długie wieki mozolnie borykać się z trudnościami życia, jeżeli owoce tej tytanicznej pracy złożyć ma na ołtarzu dobra jakiejś złośliwej woli? Głupio szlachetną byłaby ludzkość, gdyby za Prometeuszowe cierpienia miała się zadawalniać jedyną niedorzeczną nagrodą, świadomością miłosierdzia, wyświadczonego swemu złemu. A przecież bezwiednie dążymy do tego — twierdzi historyozofia Hartmanna. Zrywamy jedną po drugiej wszystkie iluzye, któremi nam przesłania oczy nieubłagana celowość świata, byśmy nie czuli, że jesteśmy ślepemi narzędziami w jej ręku, tak jak bykowi zawiązują płachtą oczy, gdy go na rzeź prowadzą. W pierwszym wielkim okresie istnienia ludzkość łudziła się, iż byt doczesny jest najlepszym z bytów, gdyż liczba cierpianych przez człowieka nieszczęść i smutków tonie w wielkiem morzu szczęścia i wesela i za jedyny cel miała egoistyczne dążenie do najwyższego na tej ziemi szczęścia. Ludy klasyczne z naiwną wiarą w dobro życia stanowią w dziejach ludzkości jak gdyby złoty wiek na iluzyi opartego zadowolenia. Lecz nadszedł czas, gdy człowiekowi otworzyły się oczy, gdy doszedł do przeświadczenia, iż bilans dobrego i złego wypada na korzyść ostatniego i wówczas zbyt słaby swym średniowiecznym duchem, by mógł się całkowicie zrzec wszelkich nadziei i obojętnie w czarną teraźniejszość i przyszłość spoglądać, uroił sobie, iż przynajmniej w życiu pozaziemskiem czekać go będą rozkosze, iż tam, w nieznanych krainach bóstwa, mniej brzemienna nieszczęściem atmosfera otaczać go będzie, i z tym przekazem na niebo znośniejsze prowadził życie na tym padole płaczu, bo egoizm jego został zaspokojony różową perspektywą. Lecz i temu złudzeniu doświadczenie położyło kres; przekonała się i przekonywa coraz dowodniej ludzkość, iż nieśmiertelność duszy to mrzonka, i z tego piekła na ziemi niema ostatecznie wyjścia; czuje, że nie pozostaje jej nic innego, jak zrezygnować, zaniechać pogoni za niedoścignioną marą szczęścia i istnienie swoje uwarunkować celem, celem wyższym, niż samolubny eudemonizm choćby nawet pozaziemski. Etyka chrześciańska, do nieba po odbiór szczęścia odsyłająca, przestaje zadawalniać szlachetne umysły; iluzya w trzecim swoim okresie coraz słabszą się staje; idea zupełnego zaparcia się wypiera stopniowo chęć zbawienia siebie, gdyż po nad nią stawia o wiele podnioślejsze pragnienie zbawienia całego świata. Żyjemy w przededniu chwili, kiedy ludzkość niczem nieukojone cierpienie bezwiednej woli uczyni swojem cierpieniem, jej cel swoim celem, by kiedyś, jak Samson „jednem wstrząśnieniem kolumny zburzyć gmach cały i runąć pod gmachem“ rozwalonym świata. Tak więc, dla Hartmanna niedola woli i świata nie jest wieczną, skoro może przy współudziale człowieka, a więc „jak baron v. Münchausen za własny warkocz z błota się wyciągnąć;“ i jej zaświtać może kiedyś jutrzenka spokoju; to też nadzwyczaj trafnie zapytuje Vaihinger*), czy chcąc pozostać konsekwentnym pesymistą, nie należałoby owego *dies irae*, mającego zagrzebać w popiele zbawionego wszechświata ostatnią iskierkę organicznego życia, nazwać czwartym stanem optymistycznego złudzenia. Czyż bowiem mało zostanie siedlisk nieszczęścia na innych planetach. a nawet na oddalonych miejscach naszej?

Na tej to dziwnie egzaltowanej idei ludzkiego posłannictwa spoczywa cały gmach Hartmanowskiej etyki. Nic dziwnego też, że uważa ją za najwznioślejszą ze wszystkich moralistycznych teoryj, a tem samem pesymizmowi przypisuje wielką zasługę prawdziwego zreformowania moralnego ustroju ludzkości. Schopenhauer był przynajmniej konsekwentnym, nie wymagał długich i uciążliwych przygotowań dla nirwany, przygotowań tak co do swej natury sprzecznych z celem. Harmann zaś pigułkę dla chorej ludzkości tak osładza, iż nie chce się wierzyć, by miała służyć za lekarstwo, i dobrodusznie o niezbędności tej słodyczy zapewnia. Nie tylko zasada, iż moralnem jest to, co pożyteczne, lub przyjemne, lecz nawet wiara, iż moralność z porządku rzeczy pociąga za sobą szczęście, choćby się go na celu nie miało, jest według niego kłamliwą i niegodną człowieka: nie powinien istnieć żaden, choćby najlżejszy związek między moralnością i szczęściem, w przeciwnym razie człowiek łatwo mimowolny wynik dobrego postępowania wziąłby za cel właściwy. Bardzo naturalnym jest wobec tego zarzut P. Christa, iż, jeżeli człowiek z natury tak skłonnym jest do eudemonizmu, to zrzeczenie się wszelkiego szczęścia jest moralnością narzuconą, przymusową; jeśli zaparcie się

*) Hans Vaihinger. *Hartmann, Dühring und Lange* str. 137—158.

— Tak — odrzekł, uśmiechając się — przecież każdy człowiek ma ojca.

Dziecię, konwulsyjnie łkając, zaledwie zdołało odpowiedzieć:

— Ja... ja... nie mam go.

Robotnik spoważniał. Poznał syna Blanchetty, a choć był obcym we wsi, znał jednak potrosze jej historyę.

— No, pociesz się chłopcze — rzekł — i chodź ze mną do twej matki, znajdę ci ojca.

Poszli. Duży trzymał małego za rękę i uśmiechał się.

Był kontent, że zobaczy Blanchettę, o której mówili, że była najpiękniejszą dziewczyną w okolicy.

Przyszli do białego, schludnego domku.

— To tutaj — rzekło dziecię i zawołało: „Mamo.“

Ukazała się kobieta, a robotnik uśmiechać się przestał. Pojął odrazu, że z tą wysoką, bladą dziewczyną żartować nie można. Stanęła poważnie we drzwiach, jakby broniąc przestąpienia progu mężczyźnie dlatego, że została przez innego zdradzoną. Nieśmiało z czapką w ręku wyjąkał: Przyprowadzam pani synka, zabłąkał się niedaleko rzeki.

Lecz Szymon rzucił się matce na szyję i znowu płacząc rzekł:

— Nie mamo, chciałem się utopić, bo mnie wybili... wybili za to, że nie mam ojca.

Ciemny rumieniec okrył lica młodej kobiety; jakby uderzona gromem, namiętnie zaczęła całować dziecko, a łzy strumieniem toczyły się po jej twarzy. Wzruszony do głębi mężczyzna nie wiedział, jak odejść, gdy nagle podbiegł do niego Szymon i zawołał:

— Chcesz być moim ojcem?

Cisza zapanowała. Milcząc, z rękami na piersiach, zawstydzona Blanchetta oparła się o mur, a dziecię, widząc. że nikt nie odpowiada, mówiło dalej:

— Jeżeli nie chcesz, wrócę i utopię się.

Robotnik wziął to za żart i śmiejąc się, odrzekł:

— Ależ dobrze, przystaję chętnie.

— Jak się zowiesz — spytało dziecię — abym mógł im powiedzieć, gdy mnie o to zapytają?

— Filip — odpowiedział mężczyzna.

Szymon milczał chwilę, jakby chciał zapamiętać imię, potem rozpostarł ramiona i wesoło dodał:

— A więc Filipie, jesteś moim ojcem.

Robotnik podniósł go z ziemi, pocałował gorąco w oba policzki i szybkim oddalił się krokiem.

Drugiego dnia, gdy Szymon poszedł do szkoły, koledzy powitali go złośliwym śmiechem. Przy wyjściu, gdy wyrostek znów chciał go ośmieszyć, rzucił mu w twarz, jak kamieniem, słowa:

— Mój ojciec nazywa się Filip!

Okrzyk radości rozległ się ze wszech stron.

— Filip, kto? Filip, jaki? Co to jest Filip? Skąd wziąłeś twego Filipa?!

Szymon milczał; niewzruszony w wierze, pogardliwie na nich spoglądał. gotów znieść męczarnie i nie uciec przed nimi. Po lekcyach wrócił do matki.

Przez trzy miesiące przechodził często robotnik koło okien Blanchetty, czasami odważył się przemówić, gdy siedziała, szyjąc przy oknie.

Odpowiadała grzecznie, zawsze poważna, bez uśmiechu, nie zapraszając go do wejścia. Jak wszyscy mężczyźni próżny, wmawiał w siebie, że czasami, gdy z nim mówiła, rumieniec oblewał jej twarz.

Jednak raz popsutą opinię trudno naprawić, a i wtedy jest tak wiotką, że o Blanchecie, pomimo jej skromnej powściągliwości, mówić zaczęto. Szymon kochał jednak nowego swego ojca i chodził z nim prawie co wieczór po skończonej robocie na spacer. Uczęszczał pilnie do szkoły i z godnością przechodził koło kolegów, nie odzywając się do nich.

Dnia jednego wyrostek ten, który najpierwszy napadł na niego, rzekł:

— Skłamałeś, nie masz ojca Filipa!

— Dlaczego? — odparł wzruszony Szymon.

Wyrostek ręce zatarł i odpowiedział:

— Gdybyś miał ojca, byłby on mężem twej matki.

Prawda słów ostatnich zmieszała Szymona, pomimo tego odrzekł:

— A jednak on jest moim ojcem.

— Być może — rzekł wyrostek, śmiejąc się—lecz nie jest zupełnie twym ojcem.

Synek Blanchetty spuścił głowę i zamyślony poszedł do kuźni ojca Brison, gdzie pracował Filip.

własnego zadowolenia opiera się na przeświadczeniu, że zadowolenia na świecie niema, to cały ten wysoki altruizm niczem się nie różni od wstrzemięźliwości lisa, wobec niedostępnych dlań winogron.

(D. c. n.)

PRĄDY W NOWOCZESNEJ BIOLOGII.

I.

Zagadka życia od wieków zaprząta umysły filozofów. Człowiek ciągle usiłuje pojąć, czem jest to życie, odsłonić chociażby rąbek grubej i ciężkiej zasłony, okrywającej tajemnice jego bytu. Czy, kiedy i o ile zdoła myśl ludzka przedrzeć się przez ową zasłonę, na to pozytywny myśliciel nie jest w stanie stanowczo odpowiedzieć. Ogólne pytania, jakie stawiamy sobie co do pewnych zagadek natury, zmieniają się zupełnie w miarę przybywania nowych pojęć, które wchodzą w sferę nieznaną. Nowe fakta, nowe pojęcia — nowe rodzą zagadki, nowe stawiają pytania, zmieniają dążenia myśli. Im mniej posiada człowiek pojęć o zjawiskach natury, tem bardziej ogólnikowemi są jego pytania. Starożytni myśliciele pragnęli jednym ogólnym czynnikiem objaśnić cały obszar widomych zjawisk, kusili się o wykrycie ogólnej przyczyny wszechrzeczy, wszechzjawisk natury, które jednak tak mało i tak powierzchownie tylko znali. Ciągły pochód myśli ludzkiej polega właśnie na sprowadzaniu, w miarę przybywania nowych faktów, zagadek ogólnych do szczegółowych, specyalnych; prawem powszechnego różnicowania postęp spoczywa właśnie w rozkładaniu jednego ogólnego X na tysiączne, szczegółowe, bardziej, że tak powiem, konkretne x', x", z których każde oddzielnie rozwiązywać należy. Postęp ten jest powolnym, maleńkim, gdyż przy rozjaśnianiu każdego z owych x', x", znów rodzą się nowe podrzędne, jeszcze bardziej konkretne i realne niewiadome, których rozwiązywanie stanowi najbliższy cel każdego badania. Drogą podstawiania otrzymanych przez nas wiadomych na miejsce niewiadomych rozjaśniamy coraz ogólniejsze procesy.

Tą samą drogą podąża też i postęp w dziedzinie biologii. Ogólna zagadka życia rozpadła się z kolei czasu na dwie: 1) czem jest to, co posiada własności życia, 2) w jaki sposób życie się objawia. Dążenia do rozwiązania dwu tych pytań dały z czasem początek dwu wielkim gałęziom wiedzy biologicznej: morfologii i fizyologii.

Długi czas zadawalniał się człowiek badaniem najdoskonalszej maszyny żyjącej, t. j. organizmu ludzkiego. Stopniowe poznawanie ciała ludzkiego wprowadziło myślicieli w inną znów, obszerniejszą dziedzinę. Czy zwierzęta, które równie jak człowiek żyją i umierają, tak samo, jak i on, są zbudowane? Oto nowa kwestya, której postawienie i powolne rozwikłanie dało zczasem początek osobnej gałęzi biologii—anatomii porównawczej.

Mikroskop nowe otworzył badaczom dziedziny, dotąd zupełnie dla nich obce; przed oczami ich stanął nowy świat zjawisk, nowy obszar pojęć, który tysiące nowych realnych wytworzył zagadnień.

Ogólna więc zagadka życia zaczęła się rozpadać na pytania coraz liczniejsze, coraz, że tak powiem, ciaśniejsze, mniejsze swym obszarem, lecz za to coraz realniejsze i głębiej w naturę rzeczy sięgające. Możność rozjaśniania najogólniejszych tajemnic życia upatrywać zaczęto w rozplątaniu węzłów bardziej realnych — objawów życiowych protoplazmy, organizmy żywe składającej, w odkryciu praw, rządzących życiem elementarnej jednostki organicznej — komórki.

Coraz dokładniej znamy skład chemiczny zarodzi, coraz lepiej pojmujemy własności i objawy jej życia, a przecie jak daleko nam jeszcze do ostatecznego zrozumienia praw i istoty jej bytu!

W każdym jednak razie postęp w badaniu spraw życiowych upatrywać należy już w tem samem, że gdy dawniej zagadka życia była ogólnikową, obecnie sprowadzoną właśnie została do pewnych jednostek, których znane nam coraz bardziej kombinacye formy i funkcyi wcielają się we wszelkie objawy życiowe.

Bo jeśli użyję porównania, czyż nie będzie to postęp, gdy człowiek, rozwiązujący działanie machiny zegarowej, a niemający początkowo najmniejszego pojęcia o mechanizmie zegara, dojdzie po mozolnych poszukiwaniach do wniosku, że ostateczną przyczyną ruchu zegara jest ruch wagi? Będzie to bezwątpienia niemałe posunięcie się w wiedzy, chociaż na ruchu wagi człowiek ten się zatrzyma i nie będzie w stanie objaśnić sobie tego zjawiska, nie mając np. pojęcia siły powszechnego ciążenia. W badaniu życia doszliśmy także do pewnych kresów i na tem polega właśnie nasz postęp.

Czy kresy te jednak rzeczywiste stanowią granice naszych dociekań, trudno orzec. Zresztą mieliśmy przykłady, że umysł ludzki rozwiązywał już takie zagadki, które najgłębsi marzyciele uważali za nieprzeniknione. Słusznie bowiem powiada Ernest Haeckel, że Darwin, wskazawszy, w jaki sposób siły bezcelowo działające zdołały wytworzyć celowo zbudowane organizmy, dokonał tego, co Kant poczytywał za stanowczo niemożliwe. Największy myśliciel nie może stawiać kopca pochodowi przyszłości, nie może oznaczyć granic przyszłego widnokręgu myśli. Gdy karzeł, powiada Heine, stanie na głowie olbrzyma, więcej od niego dostrzeże.

Do głębszego zastanowienia nad dążeniami i przyszłością nowoczesnej wiedzy biologicznej sprowadza nas rok ubiegły: w tej dobie dopiero zmarł człowiek, co pierwszy zwierzęcą odkrył komórkę (Schwann), w tym roku utraciliśmy męża, który dał mechaniczne objaśnienie rozwoju istot organicznych (Darwin), w tym wreszcie roku zmarli dwaj badacze, będący filarami w nowej, młodej gałęzi biologii, jaką jest historya rozwoju (Balfour, Bischoff).

Fakta te dowodzą, że żyjemy w epoce, kiedy nowe prądy w biologii tylko co się pojawiły, żyjemy w czasie, w którym zupełnie nowe, obszerne dziedziny tej pięknej umiejętności otworzyły się spragnionym prawdy uczonym.

Myśl, że przed kilku zaledwie miesiącami zmarł człowiek (Schwann), który pierwszy dowiódł światu, iż organizmy stanowią kompleks elementarnych jednostek organicznych, myśl ta, powiadam, zale-

---

Kuźnia jakby się skryła pomiędzy drzewami; wewnątrz było ciemno; tylko czerwony blask wielkiego ognia na kominie oświecał pięciu czeladników kowalskich, obnażonemi rękami uderzających z wielkim hukiem w kowadła. W blasku ognia wyglądali jak dyabły z oczami, utkwionemi w rozpalone żelazo. Powolne ich myśli wznosiły się i upadały wraz z młotami. Szymon podszedł cicho do swego przyjaciela i pociągnął go za ramię. Ten się odwrócił. Robota ustała nagle, wszyscy mężczyzni przysłuchiwali się uważnie.

W ciszy tej rozległ się cienki głosik chłopca.

— Filipie, syn Michaud'y powiedział mi właśnie, że nie zupełnie jesteś mym ojcem.

— Dlaczego? — spytał robotnik.

— Dlatego, że nie jesteś mężem mej matki — naiwnie odpowiedziało dziecię.

Nikt się nie roześmiał. Filip ukrył głowę w dłonie dużych swych rąk, opartych o trzonek młota stojącego na kowadle.

Myślał. Czterej towarzysze spoglądali na niego, a Szymon malenki i wątły pomiędzy tymi olbrzymami niespokojnie czekał.

Nakoniec jeden z kowali wypowiedział myśl wszystkich, mówiąc do Filipa:

— Blanchetta pomimo wszystkiego jest dobrą i zacną dziewczyną, pomimo nieszczęścia swego jest porządną i uczciwą i byłaby stosowną żoną dla niego.

— To prawda — odrzekli inni.

Robotnik mówił dalej:

— Czy winną jest dziewczyna, że ją oszukał? Obiecał jej ożenić się. Znam taką niejedną, która dziś jest poważaną, choć przeniewierzyła się też cnocie.

— To prawda — odpowiedzieli chórem inni.

Robotnik mówił dalej:

— Męczyła się ona, wychowując sama swego chłopca i tylko Bóg wie, ile wypłakała od czasu, jak nigdzie prócz do kościoła nie chodzi.

— I to prawda — rzekli drudzy.

Potem słychać było tylko miech, rozdmuchujący ogień.

Filip nachylił się do Szymona:

— Idź, powiedz twej matce, że dziś wieczór pomówię z nią.

Wyprowadził chłopca; znów przystąpił do roboty a jednocześnie pięć młotów uderzyło w kowadła. Tak uderzali do wieczora: silnie, potężnie, radośnie. Byli zadowoleni. A jak w dnie świąteczne dzwon Katedry przewyższa dźwiękiem dzwony mniejsze, tak młot Filipa z ogłuszającym hukiem bił, górując nad innymi.

Stał z błyszczącemi oczyma, kując namiętnie, otoczony iskrami.

Niebo było usiane gwiazdami, gdy Filip zapukał do drzwi Blanchetty.

Miał na sobie bluzę niedzielną, czystą koszulę, a brodę pięknie rozczesaną. Młoda kobieta ukazała się w progu i rzekła trwożliwie:

— Nie dobrze, że pan Filip przychodzi tak późno wieczorem.

Chciał coś odpowiedzieć, zająknął się i zmieszany stanął.

— Wszak pojmujecie — ciągnęła dalej — że tylko tego trzeba, by znów o mnie mówić zaczęli.

— Cóż to szkodzi, jeśli chcecie zostać moją żoną! — odpowiedział nagle.

Nie odpowiedziała, ale zdawało mu się, że słyszy stuk ciała, upadającego na podłogę. Wszedł szybko, a Szymon, leżący już w łóżeczku, słyszał szmer pocałunku i słów kilka wyrzeczonych półgłosem przez matkę; potem czuł się podniesionym przez swego przyjaciela; trzymał on go w swych herkulesowych ramionach i rzekł:

— Powiedz im, twym kolegom, że Filip Remy, kowal, jest twym ojcem i że wytarga każdego za uszy, ktoby ci przykrość zrobił.

Nazajutrz, gdy szkoła była napełniona, a nauka miała się natychmiast rozpocząć, Szymon wstał i drżącemi usty, ale czystym głosem powiedział:

— Moim ojcem jest Filip Remy, kowal, i przyrzekł mi, że wytarga za uszy każdego, kto mi sprawi przykrość.

Tym razem nikt się nie roześmiał, znano bowiem Filipa Remy, kowala — a był to ojciec, mogący być dumą każdego.

Tłom. *R. Łaska.*

---

dwie pogodzić się daje z pojęciem tego olbrzymiego stosunkowo postępu, jaki nauki biologiczne w ostatnich kilkudziesięciu latach uczyniły.

Bo też rzeczywiście, od najzupełniejszego braku pojęcia protoplazmy do poznania tylu drobnych szczegółów budowy mikroskopowej organicznego świata, od najzupełniejszej nieznajomości osobnikowego rozwoju zwierząt do wykrycia tysiąca zdumiewających i olśniewających faktów embryologicznych, od braku wszelkich prawie pozytywnych danych, tyczących się rozwoju organicznego świata, do wykrycia głębokich praw tym rozwojem rządzących — taki jest skok olbrzymi i niesłychany, że zastanowić musi każdego myślącego człowieka (nie wspominam już o postępie botaniki, stanowiącej także odnogę biologii).

Kto głębiej wpatruje się w obecny ruch na tem polu tego uderzyć muszą dwa odmienne prądy. Dostrzedz je można tem łatwiej, że biegną one po różnych ziemiach Europy: jeden w Niemczech, drugi we Francyi.

Nauki biologiczne dzielnej doznały podniety ze strony teoryi rozwoju. Filozofia morfologii, której pierwsze przebłyski już za czasów niemieckich filozofów natury zjawiać się zaczęły, na nowszych i ścisłych stanęła podstawach.

Jednym z najważniejszych pytań, postawionych po wystąpieniu teoryi wyboru naturalnego, było to: w jaki sposób, jaką drogą szedł rozwój organicznego świata? Wkrótce też po zjawieniu się dzieła Darwina *O pochodzeniu gatunków* gorący i dzielny jego zwolennik, E. Haeckel starał się w znakomitej swej *Generelle Morphologie* (1866) odpowiedzieć na to pytanie, a jego genealogiczne drzewa organicznego świata (*Stammbaum*) świadczą wymownie o dorywczości i gorączce, z jaką chciał to uczynić. Cierpliwe jednak tylko nagromadzenie materyału faktycznego coraz jaśniej i pewniej pozwalało zagadkę roztrzygać, a chociaż obecnie daleko nam jeszcze bardzo do ostatecznego rozjaśnienia długiego, lat miliony trwającego rozwoju organizmów, toć jednak obecnie posiadadamy już tyle pewnych i pozytywnych danych w tym przedmiocie, że o zupełnem w przyszłości osiągnięciu celu wątpić prawie nie można.

Do celu tego prowadzą dwie drogi. Jedna z nich polega na badaniu form kopalnych, które poprzedzały obecnie żyjące na ziemi gatunki; jest to zadanie paleontologii.

Skorupa ziemska, wraz z wszystkiemi we wnętrzu jej pokładów zawartemi skamieniałościami roślin i zwierząt, słusznie porównywaną bywa do starej księgi, której powyrywane stronice i ustępy całe, wytarte i wypłowiałe litery z trudnością nieraz pozwalają się domyśleć treści i często do fantastycznych prowadzić mogą domysłów. Bo też rzeczywiście, w pokładach geologicznych zachowane są tylko nieliczne ledwie szczątki organizmów, które kiedyś ziemię zamieszkiwały; organizmy miękkie, wszelkiego szkieletu pozbawione, po największej części bez śladu dla nas przepadły w długiej pomroce czasu; zachowały się tylko części twarde, pancerze, muszle, kości, lub też odciski ciała. Stąd też znajomość nasza form kopalnych nader jest niedokładną i niepewną, a o ostatecznem rozwiązaniu zagadki, jak podążał rozwój organicznego świata, zwątpić byśmy musieli, gdyby nie inna jeszcze daleko pewniejsza i przystępniejsza dla nas droga.

Stanowi ją historya rozwoju jednostkowego zwierząt, czyli embryologia porównawcza. Naukowe wyniki pracy kilku ostatnich lat dziesiątków doprowadziły do wykrycia wielkiego prawa, które można streścić w tej formule: każdy organizm, rozwijając się z jajka aż do stanu zupełnie dojrzałego, podlega stopniowym zmianom; otóż zmiany te są jednoznaczne ze zmianami, jakim dany gatunek podlegał w ciągu długiego swego rozwoju od form bardziej prostych do coraz więcej złożonych; czyli innemi słowy: w rozwoju osobnikowym organizm przebiega szybko te stadya, jakie przechodzili jego przodkowie t. j. organizmy, niżej na drabinie ustrojów pozostające. Rozwój zatem osobnikowy jest krótkim, szybkim powtórzeniem rodowego. Prawo to, na którego olbrzymie znaczenie filozoficzne pierwszy zwrócił uwagę E. Haeckel zowie się prawem równoległości jednostkowego i rodowego rozwoju, czyli ontogenii i filogenii.

Oddało ono znakomite usługi nowoczesnej morfologii, gdyż, badając na tej podstawie historyę rozwoju osobnikowego różnych grup zwierząt i porównywając je z sobą, można wnioskować, które grupy są przodkami, a które potomkami innych, słowem można śledzić drogę, którą posuwał się powolny rozwój organicznego świata.

Im rozwój osobnikowy trwa krócej, odbywa się szybciej, tem badanie oddzielnych jego stadyów, któreby odpowiadały okresom rozwoju rodowego, staje się trudniejszem i o wiele łatwiej w błąd wprowadzić może, gdyż w tym razie stadya te następują bezpośrednio jedno za drugiem, maskując się wzajemnie. Co innego zupełnie, gdy sam rozwój osobnikowy trwa długo. Wiemy, że niektóre zwierzęta przebywają bardzo długi rozwoj, ulegają t. z. przemianom, przechodzą stadya kilku często larw, bardzo różniące się wzajemnie od siebie i tylko powoli jedno w drugie przechodzące. Otóż badanie takich larw zwierzęcych szczególnie ważnem jest przy rozwiązywaniu kwestyi filogenii zwierząt.

Po wszystkiem, cośmy wyżej powiedzieli najbliższy cel filozoficzny obecnych prądów na polu morfologii staje się jasnym. Wszyscy dziś poważni pracownicy na polu anatomii i embryologii porównawczej upatrują najbliższy kres filozoficzny swych poszukiwań w objaśnieniu pochodzenia rodowego organizmów, w jak najdokładniejszem zbadaniu praw, filogenetycznym ich rozwojem rządzących. Mając tedy myśl przewodnią, cel jasno wytknięty, metody badania wyrobione, spółcześni morfologowie dziwnie harmonijnie kroczą naprzód, rok każdy przynosi nowe, piękne zdobycze, a w miarę przybywania coraz liczniejszych faktów, ogólne ideje zamiast, jak to często bywa, zaciemniać się, coraz jaskrawiej po nad fakta występują. Słowem część biologii, zajmująca się więcej morfologią organizmów, ma już obecnie swą filozofię, ma, że tak powiem, filozoficzną swą kanwę, na której coraz harmonijniej zarysowują się kształty tkaniny.

W czemże leży przyczyna, że umiejętności morfologiczne posiadają swą filozofię? Nauka, której treść i zadanie stanowi wprost zbieranie faktów, nigdy filozoficzną stać się nie może; metoda bowiem jej poszukiwań będzie jednostronną, czysto analityczną. W naukach filozoficznych posługiwać się musimy zarazem inną metodą, syntetyczną, która polega na tem, że oddzielne fakta porównywać będziemy wzajemnie, by drogą abstrakcyi dochodzić z nich do wniosków ogólniejszych. Jak bowiem abstrakcya bez empiryzmu jest bezpodstawową, tak znów empiryzm jest w naukach filozoficznych tylko poprzednikiem abstrakcyi.

Otóż, ponieważ w nowoczesnych naukach morfologicznych obie te metody badania filozoficznego łączą się z sobą jaknajściślej i polegają na ciągłem wzajemnem porównywaniu empirycznie otrzymanych faktów, nauki te zdołały już stanąć na gruncie prawdziwie filozoficznym.

(D. n.)

Józef Nusbaum.

Z Czerwonej Rusi.

Lwów, 25 stycznia.

Spełnienie moich przepowiedni. — Uzupełniający wybór posła do Rady państwa. — Zjednoczenie stronnictw. — Wiec józefiński. — Konsekwencye.—Wspólna akcya wyborcza. — Uzurpatorstwo *Russkoj Rady*.— P. Barwiński i Hulimka. — Kapitulacya stronnictwa narodowego. — Skutki „ugodowej" polityki. — Gdybym był chorążym ruskim... — Szukanie prawdy. — Wzrost dziennikarstwa ruskiego.

Gdybym był zimnym tylko stosunków tutejszych obserwatorem, gdybym nie śledził odradzania się narodowości ruskiej z większym nieco, niż zwyczajny sprawozdawca dziennikarski, interesem i szczerze nie sympatyzował z całym tutejszym ruchem młodoruskim — mógłbym się cieszyć i tryumfować dzisiaj do woli. Szanowny czytelnik, jeżeli czytał ostatnią *Z Czerwonej Rusi* korespondencyę, przypomina sobie zapewne, że z sojuszu narodowców z partyą „starych" niekoniecznie wesołą wróżyłem przyszłość stronnictwu ukrainofilów.

Przewidywania moje poczynają się już spełniać. Przyoblekanie się ich w rzeczywistość zainaugurowały uzupełniające wybory posła do Rady państwa z wiejskiej kuryi wyborczej w okręgach Żółkiew-Rawa-Sokal. Na terytorum trzech tych czysto ruskich powiatów odbyła się walka, spokojna wprawdzie i w granicach austryackim kodeksem dozwolonych, ale tak zacięta, że nie wiele równych pamiętamy tu na Rusi. Przygotowania z obu stron były ogromne. Wytężono wszystkie siły, każdą niemal chatę zaopatrzono w odezwę, wzywającą do głosowania na wskazanego kandydata, którym ze strony polskiej był ostatecznie (po niedoszłych do skutku innych kandydaturach) właściciel dóbr (stara historya!) p. Hulimka, ze strony zaś „zjednoczonych" stronnictw ruskich — ksiądz (także nic nowego!) Juzyczyński, kanonik przemyski. (Już to przyznać trzeba, że polacy tutejsi szczególniejszą predylekcyę mają przy wyborach do szlachty, rusini zaś do księży).

Wyraz „zjednoczonych" objąłem umyślnie cudzysłowem, bo właśnie zjednoczenie to stało się przyczyną niepowodzenia narodowców rusińskich i ono też jest powodem mojego wcale niewesołego tryumfu. Dzieje tego ściślejszego zsolidaryzowania się partyj ruskich są następne:

Odbyło się tu przed paru laty w stolicy halickiej Rusi wielkie zebranie narodowe, zwołane przez *Russką Radę* z okazyi stuletniej rocznicy wstąpienia na tron cesarza Józefa II, któremu żywioł ruski w Galicyi wiele ma do zawdzięczenia, już dlatego, że monarcha ten podniósł do równorzędnej z katolickim godności i znaczenia ruski obrządek unicki, już też, że i rusinom, odrębności swej wówczas wprawdzie nader słabo świadomym, te same przyznał prawa, co polakom, którzy w sferach rządowych nie najlepiej pod owe czasy byli widziani.

Otóż na wiecu tym. „józefińskim," jak go nazwano, po spaleniu wielkiej ilości kadzidła pamięci Józefa II, poczęto rozprawiać wiele na temat zgody — ognia z wodą. Muszę jeszcze dodać, że *Russkaja Rada* jest klubem politycznym, do którego wyłącznie tylko zwolennicy partyi świętojurskiej należą, bo za pomocą balotowania nie dopuszcza ona żywiołów sobie nieprzychylnych. Na wiecu, jako zgromadzeniu ogólno-narodowem, zjawiły się stronnictwa oba, że jednak zwołane ono zostało przez partyę starych, poplecznicy jej zebrali się w poczcie o wiele liczniejszym, niż narodowy. Chłopi zaś, dla których wiec zwołano, była to *tabula rasa*, na której każde

ze stronnictw ryć chciało głoski, wypisane na swym sztandarze, na której ostatecznie to jedynie wyryto hasło, że zgoda pomiędzy ukrainofilami i partyą świętojurską jest warunkiem koniecznym, bodaj czy nie podstawą dalszego istnienia Rusi.

Zgromadzenie józefińskie nie odbyło się spokojnie. Oba stronnictwa poczęstowały się wzajemnie pigułkami, w karmelkowe wprawdzie owiniętemi papierki, ale niezbyt słodkiemi. Mimo to faktem jest, że od tego czasu datuje się przycichnięcie walki, z niemałym dawniej obustronnie animuszem toczonej i pewne jakoby porozumienie. Organ partyi młodych, *Diło*, zajął stanowisko ugodowe. o którem szerzej miałem sposobność pomówić w liście poprzednim.

Zwykła już tylko wymagała tego konsekwencya, aby w akcyi wyborczej stronnictwa ruskie szły łącznie, w razie bowiem przeciwnym o zgodzie nie mogło by być nawet mowy. To też ruski klub sejmowy, liczący w swem gronie zarówno zwolenników panrussyzmu, jak niemniej i głosicieli narodowej odrębności, porozumiał się z *Radą russką* w kwestyi przyszłych wyborów i wyznaczył z pomiędzy członków swych ruski centralny komitet, w którym delegatom *Rady* zapewnioną została odpowiednia ilość głosów.

Otóż komitet, w którym narodowcy stanowią znaczną mniejszość, zaofiarował opróżnione po Fedorowiczu krzesło poselskie w Radzie państwa adwokatowi tutejszemu, dr. Alfredowi Dobrjanskiemu. Kandydat ten jest zdeklarowanym świętojurcą, mimo to narodowcy, aby nie zrywać solidarności, na wybór jego się zgodzili. Dr. D. atoli mandatu nie przyjął. Wypadło tedy poszukać innej osobistości, nim jednak do tego przyszło, *Rada russka* postawiła na własną rękę kandydaturę inną, upatrzywszy sobie ks. Juzyczyńskiego, człowieka pod względem zapatrywań politycznych *ejusdem farinae*, co dr. D.

Tymczasem nadchodzi wieść, że znaczne grono wyborców ani słyszeć chce o ks. Juzyczyńskim a domaga się natomiast postawienia kandydatury redaktora *Diła*, p. Barwińskiego, człowieka zdolnego, szanowanego powszechnie i bynajmniej nie poszlakowanego o jakiekolwiek antinarodowe dążenia. Była to chwila dla zjednoczonych stronnictw nadzwyczaj krytyczna, tem więcej, że po zerwaniu solidarności przez *Radę* narodowcy mieli już teraz zupełnie wolne ręce. Ci jednak, czy to że nie chcieli zrywać (faktycznie już wtedy zerwanej) solidarności, czy też nie dowierzali jeszcze swym siłom, po krótkiem wahaniu zdecydowali się dyktaturę *Rady* uznać za fakt spełniony i odezwę jej, acz bez dodania choćby jednego ze swej strony słowa zachęty, wydrukowali w *Dile* na czele numeru, dając tem do zrozumienia, że uzurpatorstwo *Rady* się poddają i—kapitulują.

Rezultat wyborów był już teraz do przewidzenia... Kandydat polski otrzymał głosów 328, ks. Juzyczyński — 228. W razie zaś postawienia kandydatury p. Barwińskiego głosy byłyby się wprawdzie przy pierwszem liczeniu rozstrzeliły i bezwzględnej większości nie byłby otrzymał żaden z kandydatów, ale przy głosowaniu powtórnem — wszelkie szanse wyjścia z urny zwycięscą miał po swej stronie p. Barwiński. Kandydatura jego, gdyby była doszła do skutku, tem większe jeszcze miałaby widoki powodzenia, że polak, p. Hulimka, jest człowiekiem bez porównania mniej znanym i do decydowania w sprawach publicznych przysposobionym, niż p. B., wirem życia publicznego otoczony. Zniklaby tez i wyższość p. Hulimki, którą podnoszono do znaczenia hasła politycznego, ta mianowicie, że p. H., *gente ruthenus* a zatem unita, wiecej podobno przywiązanym ma być do kościoła unickiego. niż ks. Juzyczyński, o podobne, co i ks. Naumowicz, podejrzany dążności. Prawowierność p. H. była dla wyborców-chłopów wagi niepośledniej, straciłaby zaś wartość swą w danym razie, gdyż i pana B., który od wszelkich sporów religijnych jest dalekim, nikt o herezyę nie posądzi.

Zwyciężył więc kandydat polski, człowiek zresztą uczciwy i inteligentny, ale w każdym razie, jako polak, do reprezentowania ruskich interesów niepowołany wcale. Otóż i skutki „ugodowej" polityki *Diła* i stojącej po za niem partyi! Polityka ta mści się już na swych autorach — czy zaś wyznającemu je stronnictwu nie przyniesie klęsk jeszcze większych, okaże przyszłość niedaleka. Dziwna rzecz! Tyle mi już natłomaczono i najdowodniej nawykazywano, że oportunistyczna halickich narodowców polityka jest w obecnych czasach jedynie możliwą i w skutki brzemienną — ja przecież ani niemożliwości jęcia się innego sposobu kierowania narodowym ruskim korabiem nie mogę się dopatrzeć, ani też rozwiązania owej ciężarnej polityki — doczekać. Pierwszy zresztą poród był bardzo fatalny!... Na argument zaś, że spodziewane skutki nie ukażą się tak rychło i że czekać na nie wypadnie czas dłuższy, potrzebuję tylko powtórzyć sentencyę z poprzedniego mego listu: nim słońce zejdzie, rosa oczy wyje... Co rozumiem pod „rosą," czytelnik domyśli się zapewne, a jeżeli nie jest szowinistą, życzliwość moją dla ruskiego żywiołu tak oceni, jak na to zasługuje.

Zdaje mi się zresztą, że sztandar tak czysty, tak jasny i piękny, jak sztandar narodowców ruskich w Galicyi, nie powinien się brukać czołganiem po manowcach, po których ostatecznie nie pójdzie nigdy, bo musiałby istotę swą zmienić chyba do gruntu, a nie powinien i nie potrzebuje tem bardziej, że wypisano na nim chwilowej wartości hasła, ale takie, które pierwej, czy później *per angusta* wydostać się wreszcie musi *ad augusta*, słowo wielkie— *prawda*...

Inni szukają prawdy gdzieindziej... Podczas gdy *Diło* zwiększyło swój format i wychodzi od nowego roku trzy razy w tygodniu, gdy *Batjkiwszczyna* (dotychczas dwutygodnik) zamieniła się na pismo tygodniowe — nie zasypia sprawy i partya przeciwna. *Słowo* wychodzić będzie i nadal a przybywa mu jeszcze pomocnik, czy współzawodnik: *Nowy Prołom*, który, zamiast jak dawniej pod *Prołomu* tylko nazwą, co dwa tygodnie, wychodzi teraz dwa razy na tydzień i to w formacie powiększonym. Dawny zaś jego, również dwutygodniowy dodatek popularny, *Wiecze*, przeobraził się w *Nowoje Wiecze* i wychodzi co tydzień.

O pismach tych i wogóle o ruchu literackim rusinów austryackich pomówię obszerniej w liście następnym.

Nalewajko.

Badania dziejowe.

Stanisław Smolka. **Szkice historyczne.** Serya druga. Warszawa. 1883. 8 ka, str. 302. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Druga serya szkiców autora dziejów Mieszka III zawiera pięć rozprawek pod tytułami: 1) *Gniazdo Tęczyńskich*, 2) *Po bitwie mohackiej*, 3) *Czarny Iwan*, 4) *Spór z kościołem*, 5) *Marya Stuart*. Dzieje Tęczyńskich snuje autor od czasów najdawniejszych do r. 1637, w którym zgasł *ultimus virorum de Tenczyn* Jan, wojewoda krakowski. Wydatniejsze osobistości ustawił p. Smolka na tle stosunków ogólnych, przez co opowiadaniu głębszy nadał interes; da się to powiedzieć szczególnie o dziejach tych Toporczyków, którzy — jak Sieciech np. — ogniskowali w swem ręku sprawy całego państwa. Ostatnich członków znakomitego rodu traktuje autor pobieżnie. Budzi w nas wątpliwość niepoparta cytatą data śmierci (r. 1637) Jana, wojewody krakowskiego; inni bowiem pisarze podają o rok późniejszą (Siarczyński. *Obraz*, II, 265). Warto było zaznaczyć, że spadkobiercami tytułu hrabiowskiego i przydomku „z Tęczyna" stali się Ossolińscy—jedna z gałęzi rodu Toporczyków. W r. 1621 w liście wierzytelnym do króla angielskiego daje kanclerz Jerzemu Ossolińskiemu pierwszy raz tytuł hrabiego „z Tęczyna," a w rok później cała już rodzina Ossolińskich piszą się „z Tęczyna" we wszystkich prawie konstytucyach, umowach i urzędowych czynnościach. Zastanawiał się nad tem dawniej Czacki (*O lit. i pol. prawach*. II. 71); szczegółowiej rozprawia Kubala (*Jerzy Ossoliński*. I. 43).

Przedmiotem rozprawki *Po bitwie mohackiej* jest walka pomiędzy Ferdynandem habsburskim i Zapolyą o tron węgierski, oraz zabiegi dyplomatyczne króla Zygmunta I w tymże zwrócone kierunku. Najnowsze prace: Hirschberga (*Przymierze z Francyą w r. 1524*) i obecne studyum Smolki nie uwalniają bynajmniej Zygmunta od zarzutu, że w sprawie puścizny poległego pod Mohaczem synowca bez należytej działał energii. Niemałą w walce pomiędzy kandydatami do tronu odegrał rolę pierwiastkowo stajenny, następnie prorok i wódz — *Iwan Czarny*, który, stanąwszy na czele tłumów, służył najprzód Zapolyi a później Ferdynandowi. Wpadł wreszcie w ręce szlachty węgierskiej, którą niemiłosiernie łupił i oddał głowę pod topór.

Pomijamy artykuł o Maryi Stuart, który, jako streszczenie dzieła prof. Breslau, mogłaby bez szkody dla nauki pokryć niepamięć; zwrócimy za to uwagę na *Spór z kościołem* o obsadzenie stolicy biskupiej w Krakowie.

Zależność obsadzania biskupstw od Korony, a więc złamanie przysługującego kapitułom prawa wolnego wyboru—było stałym Kazimierza Jagiellończyka zamiarem. Nominacya królewska miała podnosić do godności biskupiej ludzi, popierających dążności tronu; episkopat polski, rej w państwie wodzący dotychczas, powinien stać się powolnem w ręku króla narzędziem. Ciężką toczyć musiał Kazimierz walkę z kapitułą i papieżem, ostatecznie jednak zwyciężył — najskrajniejszego regalistę, Gruszczyńskiego, wprowadził na biskupstwo krakowskie.

Opowieść o sporze dała autorowi sposobność do wygłoszenia kilku uwag tendencyjnych na temat stosunku kościoła do państwa. „Szczytne zadania kościoła i państwa — powiada autor — głębiej pojęte, wolne od niższych, wymaganiami danej chwili naniesionych przymieszek, na jednych schodzą się szlakach... A mimo to, wbrew marzeniom ideologów, którzyby między kościołem a państwem pragnęli idealnej harmonii, stwierdzają dzieje, że te dwie potęgi, z natury sobie przyjazne i uzupełniające się nawzajem, nietylko w zawziętych stoją nieraz przeciw sobie zapasach, tylekroć ludzkość naszą poruszających, ale i w czasie spokoju, w czasie zupełnej pozornie harmonii, toczą chociażby nieznaczne, podjazdowe utarczki... Bo choć Zbawiciel wyrzekł, że królestwo jego nie jest z tego świata, kościół jego, z tym światem mając do czynienia, niczego nie może zaniedbać, aby zdobyć sobie jak największy zasób środków, które w ludzkich stosunkach niezbędne są do poparcia jego działalności; bo posłannictwo jego tak olbrzymie, że najpotężniejsze środki, jakie w życiu ludzkości mogą być dane, nie będą jeszcze dosyć silne wobec ułomności natury ludzkiej, na której prostowanie i zwalczanie kościół siły swoje wytęża. Im

potężniejsze jednak te środki, tem skuteczniejsza działalność kościoła, więc nigdy dosyć kościół ich mieć nie może. I niepodobna sobie wyobrazić takiego stosunku, w którymby państwo oddało się ze wszystkiem w usługę kościoła, żeby kościół ze stanowiska swojego nie miał więcej jeszcze od niego wymagać. A w tem tkwi kolizya nieunikniona... A tak te zapasy, odnawiające się od czasu do czasu i owo pogotowie wojenne, w którem te dwie przyjazne potęgi stają przeciwko sobie, słowem ten stosunek między kościołem a państwem jest nietylko koniecznością, ale w swym ogólnym dziejowym wyniku staje się prawdziwem dobrodziejstwem dla państwa, a zarazem i dla kościoła...“ (str. 278 do 280).

Przeczymy, żeby zadania kościoła i państwa na jednych schodziły się szlakach; nierozumiemy błogosławionej działalności pierwszego (prostowanie ułomności ludzkich?), ani pożytku ścierania się dwóch wrogich sobie potęg. Uwagi p. Smolki słuszne będą w zastosowaniu do wieków średnich, w których kościół przez walkę z państwem niezaprzeczone przyniósł ludziom usługi; mylne są za to w zastosowaniu do potrzeb chwili obecnej. Ludzkość zdziecinniałaby, oddając się pod opiekę kościoła; państwo marnowałoby siły, utrzymując niezależność kościoła i tocząc z nim walki. Ludzkość emancypuje się z pod wszelkiego gatunku opiek i nie może powrócić pod skrzydła instytucyi, której zadaniem torturowanie myśli przez wtłaczanie jej w ciasne ramy dogmatyzmu.

Cezar Biernacki. **Hołdy pruskie** podług źródeł dziejowych. Warszawa, 1882, 8-a, str. 54.

Z okazyi znanego obrazu Matejki p. Cezar Biernacki opisał sześć hołdów, złożonych przez książąt pruskich królom naszym: w r. 1525 i 1550 przez ks. Alberta w Krakowie, w 1569 przez Alberta Fryderyka w Lublinie, w 1578, 1611 i 1641 przez elektorów brandeburskich w Warszawie. Idąc za Dominikiem Szulcem, prusaków uważa p. Biernacki za plemię polskie, co jest rzeczą bardzo wątpliwą, podobnie jak podbój przez Bolesława Chrobrego (str. 7). Niedobrze autor nazwał Krzyżaków Braćmi Szpitalnymi (str. 8), ci bowiem (Johannici) po straceniu Palestyny mieszkali na wyspie Rodos, a później na Malcie; niewłaściwie pokój toruński z r. 1466 (zam. z r. 1411) uważa p. Biernacki za bezpośredni rezultat bitwy grunwaldzkiej. Bądź co bądź, praca p. Biernackiego, jako informacyjna, jest pożyteczną i dobrą. Godziłoby się pozbawić p. Gorzkowskiego monopolu objaśniania arcydzieł Matejki, co dokonanem może być tylko przez prace ludzi świadomych dziejów i sztuki.

Dr. Antoni J. **Niewiasty kresowe.** Opowiadania historyczne. Warszawa 1883, 8-a, str. 243. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Najnowsza książka dra Antoniego J. zawiera życiorysy sześciu niewiast: Hanny z ks. Sokalskich Borzobohatej Krasieńskiej, Teofili Chmieleckiej, Zofii z Korabczewskich Chodkiewiczowej, Heleny z Krasickich Niemiryczowej, Anny z Meleniewskich Błockiej i Anny z Grabianków Raciborskiej. Pierwsza (z 2 połowy XVI wieku), druga i trzecia (z XVII w.) odznaczały się kozaczą junakieryą, uwydatniającą się w zajazdach, bójkach sąsiedzkich itp. ekscesach; Niemiryczowa — ofiara stosunków kresowych — w Krymie jassyr cierpi wraz z synkiem; Błocka w Carogrodzie znajduje wziętego przez turków w niewolę męża. Odrębny, właściwy osiemnastemu wiekowi typ przedstawia Raciborska, wypolerowana w Paryżu, mająca w sobie dużo sentymentalizmu, lecz i wyższych porywów niemało. Opowiadania dra Antoniego J. o niewiastach kresowych te same posiadają zalety i wady, jakie zaznaczono w *Prawdzie* dawniej (nr. 49 z r. 1882) z okazyi innych prac utalentowanego pisarza.

Sm.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

M. Z. R. D. **Wpływ świata—Czy zwycięży,** tomów trzy, Warszawa.

Il faut faire aux méchants guerre continuelle — tem hasłem Lafontaine'a rozpoczyna ukrywający się pod literami M. Z. R. D. autor swoją aż w trzech tomach zawartą powieść, z których pierwszy nosi tytuł *Wpływ świata*, dwa zaś inne: *Czy zwycięży.* Praca ta opowiada losy dwu kobiet, które sprzysiężenie nieszczęśliwych okoliczności rzuciło w wir życiowej walki i oddało na pastwę przemocy potężnego i niepokonanego wroga, świątobliwego prałata, po to tylko, ażeby po wielu latach cierpienia i klęsk nagrodzić je zwycięstwem nad prześladowcą. Dzieje matki, dręczonej niemiłosiernie przez gwałtownego i zepsutego męża sprzęgają się tutaj z niemniejszym szeregiem nieszczęść córki. Dwie te bezbronne niewiasty na każdym niemal kroku wpadają w sidła zastawione przez księcia kościoła. Dumny i wyniosły, imponujący piękną powierzchownością i po całym świecie roztrębywanemi dobrodziejstwami, a okrutny i nikczemny, w ciszy przepysznego pałacu rozpustny „kapłan“ jest głównym sprawcą wszystkiego złego. On to starszą z tych kobiet połączył ze znacznie młodszym od niej, posłusznym bratem swoim, by ssać w następstwie wszystkie zyski z posagowego majątku bratowej; on, zrujnowawszy dobytek, pchnął ją w przepaść nędzy, upokorzony jej wyższością i nienasycony w swej piekielnej zemście za odrzucenie propozycyi haniebnej, jednej z tych, jakie pociągnięte majestatem jego męskiej piękności damy okoliczne bez wielkiego ociągania się przyjmowały; on po latach kilkunastu przewodniczył spiskującym na honor i majątek synowicy swojej i jej też z kolei — chrześniaczki swojej — zmysły usiłował natarczywie i bezczelnie podbić za kratkami konfesyonału, pomimo iż wiek czynił go bliższym mogiły niż młodości; on, gdy ta owdowiała, mającą zaledwie ośmnaście lat życia, ukartował wraz z jej wrogami szatański plan oskarżenia jej o utrucie męża — on zawsze był złowieszczem fatum, pieczętującem łzami boleści każde jej stąpnięcie. Młoda wszakże bohaterka, ufna w „pomoc bożą,“ silna niezwykłą inteligencyą i niezłomnym charakterem, szlachetnością dążeń i energią, które ją zbliżają do ideału marzycieli, uwalnia się stopniowo ze szponów opadających ją zewsząd drapieżników, wytrwale i systematycznie obezwładnia ich, nie wyłączając stryja swego, prałata. Z nim giną i jego sprzymierzeńcy a młoda wdowa, połączona dozgonnymi węzłami z jedynym swoim kochającym ją i wzajem kochanym przyjacielem, rozpoczyna na szeroką skalę obywatelską działalność, mającą na celu podniesienie materyalnego, moralnego i umysłowego dobrobytu włościan.

Tak pierwiastek dodatni w dwóch bohaterkach, matce i córce uosobiony, jak i żywioł ujemny, reprezentowany przez dosyć w powieści *naszej* nową postać księdza, przesadą swą w wielu miejscach sprzeciwiają się prawdzie i konsekwencyi psychologicznej, która i w traktowaniu charakterów drugorzędnych częstokroć chroma. Wszyscy są tu obdarzeni szczególną jakąś samowiedzą. Widoczną nieumiejętność malowania figur niezręcznie wynagradza głośne myślenie i rozprawianie z sobą w „duchu,“ niby chóry greckich tragedyj, niebrzmiące mile dla uszu współczesnego słuchacza. Wieńcząca każde niemal starcie moralna sentencya czyni je podobnemi do niezrównanych bajek Lafontaine'a i jego naśladowców, nad lub pod któremi napotykamy zwykle psujące ogólny efekt estetyczny wyjaśnienie sensu moralnego. Wogóle zanadto rozwałkowane opowiadanie, wieleby, zdaniem naszem, zyskało na artyzmie i może powetowałoby brak jego w samej myśli przewodniej, gdyby personel powieści nie był tak nużąco gadatliwym. Nadto mania cytowania na każdym kroku wyrażeń Wiktora Hugo i Lamartine'a oraz porównania historyczne nadają utworowi charakter monotonny, od którego nie są wolne nawet chwile stosunkowo dramatyczne. Często, gdy zdawałoby się, że bohaterka zemdleje lub przynajmniej się rozpłacze, ona najspokojniej przytacza ni przypięty ni przyłatany dwu- lub czterowiersz. Tyle dobrych i poczciwych chęci widnieje z każdej niemal stronicy książki, taka obfitość morałów i „ciepłej“ miłości dla ludzi, że chce się wierzyć w umoralniający wpływ jej na pewne warstwy społeczne, co też autor, zdolny kaznodzieja, głównie miał na celu. Nie każdy może w naszej dobie zgodziłby się na tak dydaktyczne, jak za dawnych, dobrych, patryarchalnych czasów, pojmowanie belletrystyki; lecz są u nas pewne warstwy społeczne, do których światło z góry rzadko się przedziera i które żyją w mroku. Mamy na myśli klasę pewnego kroju „obywateli,“ do której, jak wnioskować można z kredytowo-ziemskiego kolorytu całej powieści autor się zwraca. Przemawia on do nich znajomym im językiem, obrazami własnego ich bytu i usiłuje w szczelnie zamkniętych głowach otworzyć lufcik dla napływu świeższej atmosfery. Głosi więc coś w rodzaju pseudoliberalizmu, występuje jako szermierz demokracyi, pali kadzidła na cześć zniesienia pańszczyzny, zachęca szlachtę do nadsłuchiwania głosów z Zachodu i dumnym jest ze znalezienia w jej łonie rozsądniejszych. Sztandar nowych idej powierza młodej kobiecie, nią poucza, jak łatwo w jednostce rozumnie rozwiniętej wysoko udoskonalony zmysł praktyczno-gospodarczy iść może w parze z szerokim polotem ducha; stawia ją za wzór obywatelkom i wykazuje, o ile wpływem swym mogłyby, gdyby chciały, dźwignąć włościan z ciemnoty i moralnego poddaństwa. Jest to pewnego rodzaju zastosowanie nowszych reguł społecznego życia do stanowiska i roli, jaką kobieta powinna i może odgrywać w stosunku dworów do chat. Szkoda tylko, że cofając datę powieściowej akcyi o lat dwadzieścia i więcej w przeszłość, autor przeoczył, iż jego zacna zresztą myśl mogła być skuteczną i odpowiadać celowi wówczas, lecz nie dziś; dziś bowiem nie dorasta do skali reformacyjnych wymagań, stawianych względem sielskiego świata. Temu zresztą ideałowi kobiety, rozumnie wyzwalającej się z ucisku przesądów, wybaczyćby można przestarzałość, gdyby jej zbytnio nie przypominały bezustanne bogobojne westchnienia, litanie do wszystkich świętych, tuziny spowiedzi itd. Zdawałoby się, iż kto robi prałata wcieleniem jezuityzmu i bogiem przewrotności, trzymać się powinien konsekwentnie zajętego stanowiska. Tymczasem autor ciąży widocznie ku tej wątpliwego światła planecie. Zastrzega się on nawet w przedmowie przeciw zarzutom. Nie chciał on bynajmniej stworzyć „ogólnego typu czarnego;“ widzi w nim tylko wyjątek z reguły i jako taki, godny potępienia. Pocóż więc było wyprowadzać go na świat, jeżeli jest jedyną tylko zarażoną owcą? Czy dla zbudowania innych? Lecz przecież choroby niepidemiczne kwarantanny nie potrzebują. Chyba więc tylko za maszynę sceniczną, za neutralną sprężynę wydarzeń służyć ma ten wyrzutek „pasterzów dusz;“ lecz w takim razie każdy prawowierny pisarz wykułby

ją z mniej szanowanego przez ogół ludzi kruszcu, by tak mizernem spożytkowaniem nie podać wartości jego ogólnej w podejrzenie. Dla nas wszakże podstawowa ta sprzeczność jasną jest i wyraźną. Autor nie dojrzał jeszcze świadomością do poziomu własnych swych szlachetnych porywów; postąpił sobie, jak Papkin w *Zemście* Fredry: wybiegł naprzód, pogroził pięścią obskurantom i dalejże w nogi. Tylko że zamiast w kąt, schował się w przedmowę, skąd na świętą wiarę zaklina czytelników, by go nie posądzali o ateizm. W końcu, ufny w słuszność swych rozumowań, woła: „że prałata uważam bezwarunkowo (!) za smutny wyjątek, *dowodzi* to, iż spędził on resztki życia w osamotnieniu i, odsunięty przez zwierzchność od wysokiego urzędu, *osadzony został za karę na oddalonem probostwie.*“ Więc był wygnańca na probostwie ma być karą i potępieniem dla podwójnego łotra? Dziwna względność — tak dziwna jak pociecha, że wyjątkowość ujemnego charakteru w powieści jest *dowodem* jego wyjątkowości w życiu. Z pewnością Börne, przeczytawszy tę pracę i jej przedmowę, nazwałby autora — zającem na ośmiu nogach.

M.

LIBERUM VETO.

Hannibal ante portas, czyli yankee na czele zboża. — Wojna amerykańska o wybicie Europy z pod naszej pszenicy. — Co robią elewatory i warranty. — Gęganie na Kapitolu. — Dobre drogi. — Podejrzane ostrzeżenia. — Mądrość polska po szkodzie. — Świadkiem Kobiałecki. — Współudział w nieszczęściu. — Prośba do Floqueta. — Kłopot Towarzystwa Dobr. z zapisem Rapackiej. — Gdyby tak *my*.

Hannibal ante portas!

Krzyk ten przelatuje przez wszystkie usta „własności większej,“ a długoletnia gęś jej Kapitolu, *Gazeta Warszawska* nie przestaje ani na chwilę ostrzegać zagrożonych ziemian. Ów groźny Hannibal tym razem przychodzi nie z Afryki, lecz z Ameryki i prowadzi za sobą nie roty wojsk, ale partye zboża. Tak, zwycięski *yankee* stanął przed naszemi bramami i niesie nam zagładę. Tere-fere — mówiliśmy sobie długo, niepokojeni przepowiedniami — dziś okazuje się, że to wcale nie tere-fere. Zmyślny, praktyczny amerykanin może na rynki europejskie dostarczać zboże taniej, niż sami europejczycy a między nimi nieposlednie miejsce zajmujący — my. Gdyśmy wszystko stracili, z czem świat się liczy, pozostała nam tylko pszenica, o którą on dbać musiał. Była to resztka aktywów, która podniosła naszą upadłość i utrzymała firmę tak niewinnie, że to nie kłuło w oczy nawet p. Muraszki (dziwiłbym się, gdyby czytelnicy nie znali tego męża). I oto nagle okrutny yankee przecina tę ostatnią nić naszej łączności z targowiskami Europy.

— Ależ na miłosierdzie boskie — woła, słysząc to, najwierniejszy z prenumeratorów *Niwy* w Owczej Nóżce z przyległościami — na miłosierdzie boskie, jak on to mógł zrobić, przecież odległość, transport!...

— Elewatory — odpowiada smutnie *Gazeta Warszawska.*

— Co za licho?

— Czort wymyślił: taka maszyna, która w ciągu jednego dnia może zsypać do magazynu 300 wagonów, czyli 40,000 hektolitrów zboża. Ośm godzin zaś potrzeba na przewiezienie z magazynu na okręt 25,000 hektolitrów.

— Bajki — twierdzi właściciel Owczej Nóżki — zresztą pozostaje jeszcze zwózka z różnych okolic.

— Drogi, mości dobrodzieju, drogi nieco lepsze niż z Wąwolnicy do Puław.

— A mówiłem — zawoła niejeden z interesowanych słuchaczów tego dyalogu — zachęcałem na zebraniach gminnych do naprawy dróg. Masz teraz! Dyabli wezmą nasze *pary.* Mosiek nie kupi ich już dla wysypania sobie podwórza na kuczki.

Stało się — *Hannibal ante portas.* Dziś już nawet polityk *Gazety Warszawskiej,* karcąc Gladstone'a, nie będzie miał odwagi mu powiedzieć: popraw się, bo ci nie damy pszenicy. I ktoby się tego był spodziewał, ażeby bezbożny, pozbawiony „wyższych uczuć,“ obrzydły niebu yankee, którego nawet panna Aniela czy Amelia w *Bibliotece Warszawskiej* niemiłosiernie wydrwiła, ażeby ten rudy bałwan tak nas pokonał? Ani do spowiedzi nie uczęszcza, ani księdza w czasie procesyi pod rękę nie prowadzi, ani herbem się nie pieczętuje, ani nawet czwórki dobranej nie posiada... Powynajdywał sobie, jakieś *elewatory,* zamiast porządnych rewersów, zamkniętych w biórku, pisze i puszcza między ludzi jakieś *warranty* — i pomimo to taniej sprzedaje amerykańską pszenicę w Europie. To już — niestety — fakt, którego zdmuchnąć trudno. Gdy jeszcze przed kilku laty na pewnem zebraniu obywatelskim syn podrujnowanego ziemianina dowodził, że nasz przemysł rolniczy winien szybko ulepszać swe środki i drogi, wyśmiano nowatora kpinkami.

— Ojciec—mówiono — stracił majątek, więc syn chce odbić się na inżenierstwie i wystraszyć pieniądze z naszych kieszeni do swojej. Znamy się na tych sztukach!

Toż samo powtarzała nasza krytyka teatralna i powieściowa. Z zadowoleniem przypatrywała się ona i przypatruje tysiącom postaci szlachciców, ale gdy jej kilka razy ukazano na scenie inżeniera, zawołała ze wstrętem: dosyć tego dobrego, dosyć, już znamy! Skutkiem tego szanujący swą godność dramaturg wolałby dziś wprowadzić do swej sztuki mamuta, niż konstruktora elewatorów. To też nasi konstruktorzy, doznawszy chwilowego powodzenia, włóczą się bez zajęcia po ulicach, i wzdychają, ażeby municypalność kazała przemalować tabliczki na domach, bo może to dałoby im zarobek, którego daremnie szukali — przy tramwajach. Te zawody nie stanowią zachęty dla pokoleń dorastających, które powtarzają sobie: to nie droga do szczęścia. Gdy przed kilkunastu laty pisma, ćwicząc naszą tradycyjną ideologię, zaczęły pędzić młodzież ku zajęciom praktycznym, rzuciła się ona tłumnie na to pole; dziś jednak pokazuje swoje oparzenia, radzi innym na zimne dmuchać. Byłoż to skierowanie fałszywe? Bynajmniej, nie przewidziano tylko, że nie dość wykształcić techników, inżenierów, górników itd., trzeba ich nadto zużytkować. Kto ich zużytkuje? Fabrykant, zwykle cudzoziemiec, ma swoich, pomysłowość przedsiębiorców nie wychodzi po za granice dostaw kolejowych, a obywatel ziemski sądzi, że rolnictwo jest przedstawicielstwem narodu, a nie przemysłem. Gospodarować jak Bóg przykazał, naprawiać te tylko drogi i mostki, po których kareta w niedzielę do kościoła się toczy, unikać wszelkiej inżenieryi, bo ta wyziębia serca i wypróżnia kieszenie, utoczyć parę koni lub wieprzów na wystawę — oto recepta agronomiczna. Czasem na gruntach podupadłego dziedzica, któremu już Berek kredytować nie chce, jakiś cudzoziemiec znajdzie i tanio kupi cenną rudę; wtedy wywłaszczony jej posiadacz mówi do sąsiada:

— Ale któż, proszę pana, spodziewał się! Chociaż ja nieraz mówiłem do ekonoma: Kobiałkowski, tam się coś pięknie żółci!

Otóż gdyby ów bystry ziemianin sprowadził górnika i wraz z nim zbadał, co się u niego tak pięknie żółci, gdyby inni mniej myśleli o „przedstawicielstwie narodowem,“ a więcej o przemyśle, ulepszeniu narzędzi rolniczych, poprawie dróg i tym podobnych rzeczach, które wyziębiają serce i wypróżniają kieszeń, możeby nasza pszenica lepiej wytrzymywała walkę z amerykańską i możeby *Hannibal* nie stał tak groźnie *ante portas.* Pamiętam, pamiętam szanowni bracia, że i obywatel ziemski znajduje się często w niemożności zrobienia czegoś z powodów... niezależnych od redakcyi, ale i to wiem, że często owymi powodami nasypuje on sobie miękkie do spania poduszki.

Co tam drogi, maszyny, konkurencya zbożowa — przed naszymi drzwiami stoi gorszy Hannibal —Floquet. Jak wiadomo, okrutny ten deputowany francuski zaproponował wydalenie z kraju wszystkich członków rodzin panujących. W pierwszej chwili zdawało się, że nas to ani grzeje ani ziębi; tymczasem nagle w oczach jednego z pism ukazała się łza. Niestety, interdykt i nas dotknie, gdyż jedna z naszych babek z babką pewnego pretendenta francuskiego przy tymże samym słońcu — jak mówi lud — bieliznę suszyła. Za nicią koligacyj pójdzie wygnanie. Ach,

Jak być dumnymi nauczą nas smutki,
Bo ból jest dumnym, chociaż gnie człowieka,

wołam jak Konstancya Szekspirowska i pocieszam ten zraniony przez Floqueta dziennik, który za nas wszystkich się zmartwił.

Deputowany francuski tak się rozmachał, że gotów nam przypędzić z Paryża wszystkich nadwiślańskich wielbicieli półświatka, miłych chłopczyków, którzy kryjomo uciekają tam z zakazanymi owocami, całą armię pozłacanych kpów, którzy zamiast znaczka legii honorowej, noszą w klapie tużurka czerwone stokrótki a do nazwisk przyczepiają sobie *de,* czeredę zbiegłych ze skradzionymi pieniędzmi kantorowiczów i tym podobnych bohaterów bulwarowych. O, tych czcigodny Floquecie pozostaw, a jeżeli chcesz koniecznie ich wygnać, to przynajmniej nie do nas. Każ ich zapakować w dziurawy statek i puść na morze podczas gęstej mgły, Zrób to dla biednego społeczeństwa, które zbyt mało posiada, ażeby jeszcze mogło karmić próżniaków i urwisów.

Jest to chyba jedyny gatunek (z tolerowanych), którego nie obdarowała zacna Rapacka. Dłoń jej była jakimś czarodziejskim rogiem obfitości. Choć martwa, dotąd jeszcze wysypuje zapisy. Znowu gazety donoszą o jej legacie dla Towarzystwa Dobroczynności na wydawanie popularnych dziełek przyrodniczych. Przyrodniczych! Wystawiam sobie, jak szanowna ta instytucya drapie się w głowę i rozmyśla, co z tym fantem zrobić. Dostała kilkadziesiąt tysięcy rubli — dotąd dobrze, ale na dziełka przyrodnicze — jak tu wyleść z tak niebezpiecznej pętlicy i nie udusić się? Gdyby chodziło o „porządne katechizmy,“ które p. Miklaszewski tak gorliwie zalecał Kasie Mianowskiego, wreszcie o jakiś niewinny kisiel literacki, ale książeczki przyrodnicze, do których darwinizm coraz bardziej wsiąka, których nie może pisać ani dr. Chomętowski, bo już umarł, ani ksiądz Pawlicki, bo mieszka daleko — Jezu Chryste! Poczciwą, świętą niewiastą była Rapacka, chociaż — świeć Boże nad jej duszą — także miała swoje słabości. Tanie kuchnie dla studentów, zapomogi dla uczącej się młodzieży, legaty na wydawnictwa przyrodnicze—to wszystko niepotrzebne. Ach, my z *Przeglądu Kat.* wiedzielibyśmy, jak tymi pieniędzmi rozporządzić — co? Zbudowalibyśmy wielki klasztor jezuicki, potem zakupilibyśmy wielki las, zrąbalibyśmy go na szczapy, ułożyli z nich przed tym klasztorem olbrzymi stos, stanęli z zapaloną pochodnią i pogrozili: cicho pozytywiści, darwiniści i kazuiści bo...

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Nadwiślańscy i nadsekwańscy gallowie. — Kapitały martwe i żywe. — Praca u podstaw dla roi de Prusse i znowu praca u podstaw. — Walka Terpsychory z Zawiścią i jej przymierze z Melpomeną i Minerwą. — Najdroższa żona — jako strażnik sumienia lekarskiego. — Kolęda Kielc. — Optymistyczny pesymizm. — Niemoc arendarzy wiejskich. — Sentencya kardynała.

Cóż to za niedołężny naród ci francuzi! Koło jakiejś ich małej mieściny popsuła się grobla: sławetni obywatele, zamiast poprosić mera, aby miejscowemu chirurgowi zamknął drogę zbyt łatwych zarobków, napisali do jednej z gazet stołecznych „brzemienną lamentem“ tyradę, w nadziei, że głos jej opamięta maleńką municypalność. Czyż tacy mazgaje mogą myśleć o decentralizacyi i samodzielności? Zapomniałem dodać, że mówię tu o francuzach *nadwiślańskich*, mała mieścina nazywa się *Macov* (Maków), a duża gazeta — *Courrier de Varsovie*.

Za to nadsekwańscy gallowie mają dużo rozumu. Teraz np. w ich stolicy sporządzono piękne plany olbrzymiej przędzalni, którą pewien polak myśli założyć w okolicach... Częstochowy. Żeby też „Inżenierya i budownictwo“ wykazała nam jak najprędzej, czy nasi technicy mogą sporządzać plany jakichś innych gmachów prócz *zamków na lodzie* i innych ornamentacyj, oprócz pajęczych złudzeń, otrzymania posady *w kraju*. Pocieszmy się jednak. Przyszli robotnicy przędzalni, działając w myśl jej założyciela, będą się modlili na odpustach częstochowskich za nasze „siły techniczne krajowe.“ Czy jednak „niebieska panienka“ zechce się mieszać w te sprawy — wątpię. Tylko kapitały *żywe* mogą rachować na opiekę niebios, a nasze „siły“ są kapitałem *martwym* i tak się głęboko pochowały, że założyciel przędzalni, nie mogąc ich odnaleść, sprowadza sobie instruktorów-techników aż z Belgii.

Co prawda, to może pan przedsiębiorca ma jakieś szczególne upodobanie do arytmetyki, nasza krajowa „teorya liczb“ nie zawsze idzie w parze z kapryśnemi wymaganiami praktyki życiowej — a kosztorysy naszych budowniczych budzą czasem zdziwienie nawet takich poważnych pism, jak *Echo Łomżyńskie*. „Odnośna władza — pisze ten organ — zatwierdziła plan budowy wiejskiego kościółka, a odrzuciła kosztorys domku dla księży. Pierwszy miał kosztować 2924 rs., drugi — 6521... Dziwna różnica!“ Czemu się tu dziwić? Pan Jezus, który się urodził w stajence, będzie niewątpliwie olśniony widokiem nawet takiej świątyni, którą za dwa tysiące rubli można zbudować; natomiast księża potrzebują przecie godnie reprezentować Boga na ziemi, jeżeli cokolwiek łączy ich ze stajenką — to nie urodzenie. Nie zapominajmy nigdy, że majestat duchowieństwa zbawiennie na lud nasz oddziaływa, a cóżby to był za majestat, mieszkający w kamienicy, mniej niż sześciotysięcznej? Stąd właśnie pochodzą owe niedokładności w rachunkach domorosłych budowniczych.

Nie traćmy nadziei: wszak dopiero zaczynamy naszą pracę u podstaw. Niektórzy z nas biorą się nawet do rzeczy energicznie. Oto pewien obywatel z Wołynia, posiadający znaczne dobra w guberuii lubelskiej, nie chcąc parcelować majątku a potrzebując pieniędzy, rozkazał swemu rządcy niemcowi ściąć *u podstaw* kilkadziesiąt włók lasu i sprzedać go przybyszom z nad Sprei. Dobrzy ludziska, którzy nas cywilizują — oczyszczając kraj z niedostępnych borów — zapłacili magnatowi 125,000 za to, co warto jest przeszło trzy razy tyle... Jakie porękawiczne dostał pan rządca — nie wiem, to tylko pewna, że nasi niezdarni agronomowie krajowi nie potrafiliby urządzać interesów tak genialnych i tak korzystnych dla...*roi de Prusse*.

My sami zadawalniamy się zyskiem daleko skromniejszym. Oto dowód. W jednym z dworków szlacheckich Podlasia kilku rolników zabrało się niedawno do uprawy zielonego — stolika. Przed rozpoczęciem pracy — postanowiono, że błogie jej owoce pójdą na korzyść sąsiedniego szpitala. Po skończonej kampanii w jednym z rycerzy zapał wojenny przerodził się raptem w oratorską swadę: „Panowie— rzekł on do towarzyszów broni—łatwo jest ofiarowywać na cele dobroczynne to, co się przegrało. Poszkodowanego mało już obchodzi los pieniędzy, których przestał być posiadaczem... łatwo również (mówca stopniował wrażenie) ofiarować wygranę niewielką; ale ja, który wygrałem znaczną kwotę, nie mogę oddać jej na rzecz chorych... nie mogę!“ Zakończenie było patetyczne — nie zdziwimy się przeto wcale, dowiedziawszy się, że wygrana wynosiła aż 80 kopiejek w srebrze i 4 kopiejki miedzią. Zresztą słusznem jest, abyśmy zbierali owoce naszych trudów, a wszakże pracę na „zielonych błoniach“ rolnicy nasi traktują sumiennie i „organicznie.“

Już to biedakom nie tylko chorym, ale i zdrowym nie świetnie się powodzi. W Piotrkowie chciano im przyjść z pomocą. Po radę udano się — jak to u nas —do Terpsychory, która obiecała zaprotegować aż dwa bale na rzecz ubogich. Wszystkie niemal nogi obywateli wzięły się rączo do pracy i zaraz po pierwszym balu uzbierano dość znaczną sumkę stu kilkudziesięciu rubli. Tak było po balu pierwszym, ale po balu drugim kasa nie miała prawie trzeciej części takiego dochodu!... Bo nastał dla Piotrkowa dzień sądny: na umysły synów jego spadła zasłona pychy, a biegając po mieście mówili oni do siebie: „Panie, nie idź pan na bal drugi, albowiem ja nie będę na nim i pan Adam, Jacenty i Alfons... Ci ludzie nie umieją nas szanować.

I nie poszli.

Mnie się zdaje, że to jest, jeżeli wolno— koteryjność i to kotyryjność, jeżeli wolno, plugawa. Wyrażam się o niej tak oględnie z obawy, aby znów ktoś nie zapragnął „zwrócić mojej lunety na dodatnie strony“ tych *tańców*.

Tak więc zabiegom Terpsychory zaszkodziła nasza słowiańska bogini — Zawiść, która już na własną rękę wyprawiła nam niejeden duży bal... gorzki.

Ale córa Hellady nie dała za wygranę: sprzymierzyła się ona teraz na naszą korzyść z Melpomeną i z Minerwą. Z wszystkich stron kraju dolatują mnie wieści o zabawach i przedstawieniach amatorskich na korzyść uczących się biedaków. Biała podlaska, Kielce, Radom, Mińsk litewski — każde, co może, *wytańcowuje* albo *wygrywa* dla swoich małych inteligencyj.

Jeśliby się znalazł wśród nas jaki Parys, coby jednej z trzech bogiń chciał ofiarować jabłko, to musiałby zaszczycić niem Melpomenę, w osobie jej nadobnej przedstawicielki — dyrektorki teatru amatorskiego w Łomży. Już to niech malkontenci mówią sobie, co chcą, przeznaczeniem naszego postępu jest rozwijać się na — deskach teatralnych. Jak się okazuje, nawet emancypacya kobiet bierze u nas początek — za kulisami. Dyrektorka łomżyńska nie próżnuje i zabawia mieszkańców swego miasta *pro publico bono*.

Ale szczególną uwagę moją pod względem zabaw i tańców zwrócił na siebie Mińsk. Niedawno urządzono tam wieczór tańcujący na korzyść dawniejszych uczniów miejscowego gimnazyum a obecnych studentów z różnych wszechnic. Zaraz po balu — w mieszkaniu jednego z inicyatorów odbyła się narada nad podziałem dość znacznej, bo około tysiąca rubli wynoszącej sumy. Wszystko poszło gładko i w kilka godzin wydelegowano osobę, która rozwoziła po mieście i wysyłała pocztą dość duże kwoty. W liczbie obdarowanych szczęśliwców znalazły się i dwie studentki. Brr... jaki ten Mińsk heretycki! Ale cóż to dziwnego? W całej sprawie nie widziałeś ani jednego prezesa, ani jednej komisyi i nie słyszałeś ani jednej poczciwej *mówki*, którąby stanęła na straży naszego itd....

Gdybym mógł, to sam postawiłbym kogokolwiek na straży sumienia pewnego lekarza z lubelskiego. Dotychczas skarbu tego pilnuje tylko „najdroższa żona,“ zacna połowica eskulapa, która go nauczyła, że „nie opłaci się“ jechać do chorego o dwie mile — za 15 rubli. Z jakąż rozkoszą ucałowałbym tę mięką dłoń kobiecą— ale *mocno*...

Wyższa ocena nauki przeniosła się z Parnasu na ziemię a zwłaszcza do Kielc, gdzie od nowego roku podniesiono uczniom opłatę wpisu. Jeżeli za te dodatkowe pieniądze otworzy się parę równoległych oddziałów, to niemiła kolęda zamieni się dla obywateli kieleckich — na gwiazdkę lepszej nadziei.

Taką jutrznię przyszłej pomyślności zobaczył *Kuryer Warszawski* w okolicach Inowładza — w gubernii radomskiej. Koło osady tej odkryto „czerwonawe wody,“ mające własności zdrojowisk franzensbadzkich. Adwokat z Radomia pan Birencwejg, zakupił odnośne grunta i zamyśla o założeniu u nas kąpieli żelaznych. *Kuryer* cieszy się, że „krajowi przybędzie nowe źródło bogactw, z których czy potrafimy korzystać?

Ja również mocno się raduję, że panu Birencwejgowi przybędzie nowe źródło... wód żelaznych, z których czy Franzensbad odniesie jaką stratę — nie wiem.

Nie wiem również, czy mieszkańcy Oleśnicy skorzystają ze swojej uchwały gminnej, zabraniającej palenia małoletnim pod karą interwencyi ducha sw., a dorosłym pod karą grzywny. Gazety nasze po ojcowsku upominają Oleśnicę, że taka uchwała *nie może* wejść w wykonanie, gdyż „sprzeciwia się prawom zasadniczym i karze cielesnej.“

Nie może? Co za optymistyczny pesymizm!

Arendarze wiejscy nie mogą również w wykonanie wprowadzić w okolicach Opola swej uchwały obdzierania chłopów, gdyż założono tam aż cztery gospody ludowe... Popłoch wśród czarnej rzeszy ogromny. Taka sama trwoga zapanowała w szeregach Starego Zakonu na Wołyniu. Gazety powiadają o tamecznych żydach szynkarzach, że chodzą, jak z „krzyża zdjęci.“

Maryan Bohusz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 1 lutego.

Oczy Europy wciąż jeszcze zwrócone są na Francyę. W ciągu dni niewielu kraj ten przebył groźne przesilenie ministeryalne, uchwalił wniosek do prawa wzbraniającego pobytu członkom rodzin dawniej panujących i nową poniósł porażkę w kwestyi egipskiej. Czy z obecnego położenia zdoła wyjść bez szkody? W kołach dyplomatycznych rozmaite w tym względzie panują zdania. Jedni zwracają uwagę na tymczasowość i chwiejność nowego gabinetu z panem Fallières na czele; inni z trwogą wskazują na szerzące się bez ustanku wieści o spiskach pod nazwą

„Alliance catholique,“ która złożyła podobno do rozporządzenia hr. Chamborda 15 milionów franków, znów inni kładą nacisk na niebezpieczeństwo, jakie przedstawia wznowienie prawa „przeciwko podejrzanym“ i dotykanie niem książąt często zupełnie niewinnych; wszyscy zaś zgadzają się na to, że tylko dłoń potężna, a energiczna może wyprowadzić Rzeczpospolitę francuską z kłopotów, w jakie ją pogrążyły śmierć Gambetty i uzuchwalone tym wypadkiem wichrzenia stronnictw przeróżnych. Dotychczas wprawdzie dłoni takiej nie widać, w sferach dobrze poinformowanych jednak, jako człowieka chcącego i mogącego wziąść na swe barki spuściznę po wielkim mężu z Cahors, wymieniają Juliusza Ferry, który ma połączyć się z gambetystami i w duchu zgasłego mistrza dalej kierować nawą państwową.

Przedmiotem licznych rozpraw i komentarzy stał się ogłoszony tymi dniami list cesarza Wilhelma do papieża, w którym monarcha niemiecki zapewnia głowę kościoła o życzliwości swej i gotowości do ustępstw a wzajem stawia swoje żądania. Zastanawiającem jest, iż jednocześnie z listem tym nie podano do wiadomości ogółu odpowiedzi, jaką dał papież (nie dał?). A ks. Bismark, który zawsze rad na rzeczywiste swoje zamiary rzucać zasłonę, posługuje się obecnie owym listem, pełnym pojednawczości i słodyczy. Co kryje się za zasłoną?

Książę Bismark rzekł raz: „jeżeli dokumenty urzędowe przechodzą do prasy, musiało się stać cóś złego.“ Pamiętając o tem, wnosić można, że pomiędzy rządem a stronnictwem środka (centrum) zaszły jakieś nowe nieporozumienia. Następujące przypuszczenie nie będzie zbyt ryzykownem: gotując się do jakiejś walki, w której spodziewanym jest opór katolików, kanclerz przez opublikowanie grzecznego listu do papieża chce zrzucić na nich całą winę zatargów w sprawach kościelnych. Mimo wszakże całej galanteryi w formie, dostrzedz można pewną stanowczość w treści. Mianowicie Bismark daje do zrozumienia papieżowi, że *do utdes*, ustępstwa za ustępstwa. Bądź co bądź, czy ci, czytelniku, cały ten kościelny targ nie przypomina wieków średnich? Och, jakże one się często powtarzają!

W sejmie węgierskim żywe dyskusye o petycyach kleru katolickiego i frakcyi antisemickiej w przedmiocie zniesienia równouprawnienia żydów skończyły się zupełnym odrzuceniem tych żądań.

Sprawa bałkańska zdaje się w nową wchodzić fazę, w Albanii rozruchy, Włochy przystępują do reorganizacyi armii swojej, powstanie w Sudanie coraz większe budzi obawy w Kairze, a kedyw wraz z komisyą międzynarodową najspokojniej zabierają się do rozpatrywania zażaleń mieszkańców Aleksandryi, którzy ucierpieli wskutek wojny.

Cn.

CUDZE GŁOSY.

Starcie w Kole posłów polskich do parlamentu niemieckiego pobudziło dzienniki poznańskie do szerokiej dyskusyi. Powód nieporozumienia był następujący. Koło postanowiło zająć się wnioskiem przywrócenia języka polskiego w sądownictwie i sformułowanie żądań zleciło posł. Czarlińskiemu. Po wygotowaniu wniosku zajęto się znów pytaniem, kiedy ma być stawiony: zaraz czy później, i większością 8 głosów przeciw 6 zapadła uchwała, oświadczająca się za wstrzymaniem go na cztery tygodnie. Otóż postanowienie to stało się powodem, że p. Czarliński łącznie z p. Kurnatowskim postanowili złożyć mandaty. Niepożądane to zajście wywołało polemikę w prasie poznańskiej. Podczas gdy *Dziennik pozn.* i *Gazeta toruńska* stanęły po stronie mniejszości, *Kuryer* postępowanie p. Czarlińskiego stanowczo potępia.

„Każdemu wolno jest mieć swoje zdanie, zwłaszcza jeśli na jego poparcie umie przytoczyć poważne argumenta. Wolno było zwolennikom prędszej lub nagłej akcyi parlamentarnej przemawiać za natychmiastowem wniesieniem sprawy przed forum parlamentu, wolno więc także było przeciwnej stronie przedstawić powody, przemawiające za odroczeniem, Czyż za to zasługują na posądzenie o brak patryotyzmu, na nazwę „utylitarystów,“ że już zamilczymy bąkania o „intrygach.‘ Skoro większość oświadczyła się za zwłoką, obowiązkiem mniejszości było albo do tej uchwały się zastosować. albo też po raz wtóry i trzeci sprawę tę poruszyć w Kole i zwolenników o słuszności swych żądań przekonać. Nie możemy zaś żadną miarą uznać złożenia mandatu za rzecz potrzebną i konieczną. Nie zachodziła zresztą różnica *w zasadzie*, ale tylko *co do czasu*.“

W sprawie ruskiej polacy z W. Ks. Poznańskiego i Prus zachodnich, żywiej odczuwający upośledzenie narodowości niż galicyanie, wystowali memoryał do tych ostatnich, z którego kilka zdań podajemy za *Dziennikiem poznańskim*.

„Twierdzić, że odrębnego narodu ruskiego wcale niema, jest więcej jak występkiem politycznym, bo jest po prostu głupotą. Wzgląd ten, że narodowość ruską z nader nielicznym, niestety, wyjątkiem składają niższe tylko warstwy ludności, nie może u nas, gdzie prosty robotnik posiada już świadomość swej narodowości, żadnego zgoła na odsądzenie rusinów od narodowości ich odrębnej dostarczyć argumentu. Argument podobny (tak często z najpoważniejszych nawet ust dający się słyszeć w Galicyi — *Przyp. red.*) źleby zaiste licował z postępem pojęć zdrowych, demokratycznych wieku naszego, który szlachtę i panów już dawno przestał uważać za jedynych jakiejbądź narodowości reprezentantów. Świadomość tę odrębności swej raczej budzić w rusinach a nie tłumić zalecają inteligencyi polskiej rozum, sprawiedliwość i własny interes.‘

W tym tonie trzymany jest cały memoryał. Jeden tylko ustęp świadczy o nieznajomości stosunków galicyjskich. Autorowie memoryału sądzą bowiem, że właściwego antagonizmu narodowego w Galicyi niema; nosić on ma charakter więcej socyalny. Mniemanie to jest błędne: wszak obok niedostatków społecznych są tam i różnice interesów narodowych, silnie dziś rozwinięte, jak świadczy o tem faktyczny stan rzeczy.

„Antagonizmu — brzmi memoryał dalej — szukać obecnie należy przeważnie w biedzie i poniżeniu jedynych teraz prawie *prowodyrów* Rusi halickiej — kleru unickiego Zadaniem przeto wpływem swym przeważnego żywiołu polskiego jest podnieść zarówno socyalno-towarzyski, jak i materyalny poziom tej warstwy.“

Ustęp ten opatrzyło *Dilo* następującym komentarzem:

„Polepszenie ekonomicznego stanu naszego duchowieństwa nie zależy od polaków, lecz od Rady państwa, gdzie teraz silnie starają się o to czescy, tyrolscy i inni klerykałowie. Pomylił się także *Dz. Pozn.* mniemając, iż przez samo podniesienie ekonomiczne i towarzyskie kleru ruskiego załatwioną zostanie kwestya ruska. Przeciwnie — nam się zdaje, iż polepszenie materyalnego stanu naszego duchowieństwa wprowadzi sprawę na nowe tory, gdyż wydobywszy się z dotychczasowej ekonomiczno-społecznej zależności, z większą teraz siłą i energią bronić będzie duchowieństwo to praw swych i państwowego stanowiska ruskiej narodowości.“

Stanowisko ruskich posłów we Wiedniu określa korespondent *Diła* w jednym z ostatnich jego numerów. Delegaci ruscy wstąpili, jak wiadomo, ostatnimi czasy do świeżo zawiązanego klubu hr. Coroniniego, który przyjął nazwę „liberalnego centrum.“ Sama ta nazwa wskazuje już, że jest on tylko odcieniem „połączonej lewicy,“ t. z. *Mittelpartei*, o którą już oddawna starało się teraźniejsze ministeryum, aby zapomocą niej mogło wedle upodobania wagę polityczną przechylać na obie strony. Zadaniem tedy klubu hr. Coroniniego jest hamowanie żądań słowian, oraz obezwładnienie „fakcyjnej“ opozycyi centralistów, co nazywa się właśnie *freundliches Entgegenkommen gegen alle Nationalitäten*. Jest to więc frakcya centralistyczna, mająca przeszkadzać słowianom austryackim w dalszem „niepokojeniu“ rządów hr. Taaffego.

„Czy korzystnem jest dla rusinów — pyta korespondent *Diła* — że nasi posłowie Kowalski i Kułaczkowski wstąpili do tego klubu, rozstrzygać nie chcę; to tylko wiem, że nasza narodowa polityka powinna być przeciwną działaniom centralistów. Do klubu hr. Coroniniego należą sami niemcy i oprócz dwu rusinów niema w nim ani jednego słowianina; prócz tego wszyscy członkowie jego są właścicielami większych posiadłości z wyjątkiem jednego adwokata i jednego notaryusza, co świadczy, że klub ten stawać będzie w obronie nie włościan, ale większych posiadaczów ziemskich. Dla zamaskowania swego celu ma on głosować czasami przeciwko projektom rządowym, ale tylko wtedy, gdy będzie pewność, że głosami swymi nie przeważy szali na niekorzyść rządu.‘

Staroczechowi Zeithammerowi, deputowanemu do Rady Państwa, nadesłali wyborcy jego z miasta Kralovy Dvur — votum nieufności, podpisane przez burmistrza, całą radę miejską i podobno niemal wszystkich wyborców *manu propria*. W piśmie swem oświadczają wyborcy, że mandataryusz ich postępuje „wbrew zasadom Franciszka Palackiego i prowadzi politykę, przeciwną historycznym prawom narodu czeskiego a wręcz szkodliwą obecnym interesom czeskim,“ wskutek czego zaufanie, jakiem go obdarzyli, podpisani cofają a całą dotychczasową działalność jego w Radzie Państwa potępiają stanowczo.

Młodoczesi nie żartują widocznie, skoro w tak dosadny sposób objawiają swoje niezadowolenie z powodu niedawno wypowiedzianych poglądów p. Zeithammera na sojusz austro-niemiecki.

Przyczyny szerzenia się socyalizmu u nas upatruje *Nowa Reforma* w osłabieniu ducha narodowego. Konstatując ten ruch i nie odmawiając mu „gruntu,“ liczy się ona z socyalizmem, jako czynnikiem ważnym, tylko że—„szkodliwym i zgubnym, przeciw któremu społeczeństwo nasze obronne zająć powinno stanowisko.“

„Charakterystycznym jest fakt — powiada dalej— że socyalistyczna agitacya urosła na gruncie naszym dopiero wtedy, kiedy on do jej przyjęcia został odpowiednio przysposobiony przez skrajne prawe skrzydło konserwatywne obozu, innemi słowy—kiedy jako dogmat polityczny nam postawiono wyrzeczenie się dawnych ideałów, kiedy dogmat ten szerzono nietylko przez publicystykę i literaturę, ale także w świątyniach nauki i publicznego wychowania. Trzeba było wprzód zatracić *narodowy* ideał, aby się chwycić nowego, socyalistycznego. Jakoż ze słownika socyalistów wykreślone jest słowo „ojczyzna.“ I oto główny powód, dla którego ruch socyalistyczny nazwaliśmy zgubnym i szkodliwym, bo podczas gdy skrajna prawica szerzy obojętność dla sprawy narodowej — skrajna lewica stara się wzniecić nawet wzgardę dla narodowości naszej.“

Tyle słów *Nowej Reformy*, która nie zdołała, czy nie chciała dopatrzeć się nieco ważniejszych przyczyn, jak u nas, tak i gdzieindziej, drogę socyalizmowi torujących. Racyę moglibyśmy jej wtedy dopiero przyznać, gdyby twierdzenie swoje zdołała poprzeć analogicznym jakimś innym faktem, gdyby potrafiła np. dowieść, że ostygnięcie ducha religijnego wpłynęło na rozwój militaryzmu itp. Kosmopolitycznym zaś jest socyalizm o tyle i z tych samych pobudek, co idee demokratyczne albo ultramontanizm.

Oskarżenie ministra. Rząd węgierski stara się, jak wiadomo, wszelkiemi siłami

zniszczyć a przynajmniej ograniczyć odrębność Chorwacyi. która wchodzi w skład korony węgierskiej i stanowi część jej integralną, ale ma zawarowaną konstytucyjnie najzupełniejszą autonomię w sprawach wewnętrznych. Postępne usiłowania węgrów napotykają jednak na silny ze strony chorwatów opór, wskutek czego nie wychodzą one prawie nigdy ze sfery „dobrych chęci." Niemałe rozdrażnienie wywołał ostatnimi czasy węgierski minister oświaty zamianowaniem naczelnego inspektora szkół przemysłowych, któremu pod nadzór oddał także i chorwackie zakłady tego rodzaju. Rozporządzenie to oburzyło oczywiście drażliwych na swe prawa chorwatów. Oto, co pisze zagrzebski *Pozor*:

„Widocznie pan minister albo nigdy nie czytał ugody naszej z węgrami, albo, co gorsza, rozmyślnie lekceważy sobie ustawodawstwo zasadnicze; musiałby bowiem w przeciwnym razie zauważyć: 1) że to nietylko sprzeciwia się ugodzie, ale najoczywistszem jest jej naruszeniem, gdy do chorwackiej Izby handlowej pisze po węgiersku, nie dołączając nawet tłomaczenia; 2) że zakres działalności węgierskiego ministra oświaty nie sięga na terytoryum chorwackie, podobnie, jak nie sięga tam zakres czynności ministra chińskiego; 3) że w sprawach przemysłowych mają Węgry i Chorwacya tylko ustawodawstwo wspólne, wszystkie zaś inne czynności należą wyłącznie do każdego kraju z osobna; 4) że wskutek tego naczelny inspektor węgierskich szkół przemysłowych tyle posiada prawa do naszych zakładów, ile go ma inspektor szkół japońskich.

Tak tedy węgierski minister nie zna punktów ugody, nie wie o tem, że w sprawach oświaty i szkolnictwa ma Chorwacya najzupełniejszą autonomię i bezkarnie narusza on konstytucyę. W myśl Zsuviesovskiego „Galgenpatentu" dopuszcza się naruszenia pokoju i winien być karanym (według § 65 k. k.) każdy, kto podburza przeciw jedności państwowej, ugodą między Węgrami i Chorwacyą postanowionej — mimo to węgierski minister i cały wspólny rząd narusza codziennie tę ustawę i jedność polityczną. Im to przecież nietylko wolno, ale prawdopodobnie za zasługę się poczytuje, ponieważ panuje mniemanie, że takiem naruszaniem konstytucyi rozszerza się i wzmaga węgierska idea państwowa. Atoli nie zaszkodziłoby, aby nasi przyjaciele z za Drawy pomyśleli, czyniąc swe eksperymenta, i o tem czasami, że każdy kij ma dwa końca..."

Ostro!

Emigracya rusinów do Ameryki. „Ameryka — pisze korespondent *Diła* lwowskiego z krainy t. z. *Łemków* — stała się teraz dla rusinów-łemków źródłem bogatych zarobków. Ciekawą jednak a zarazem pocieszającą jest dla nas rzeczą to, że łemko nasz, wybierając się za ocean, *nie sprzedaje gruntu swego, jak to czynią mazurzy*. Idzie tam na dwa tylko, najwyżej na trzy lata *dla zarobku*, pozostawiając w ojczyźnie całe swoje gospodarstwo, o którem i w Ameryce pamięta, w swoich bowiem rozporządza zawsze, jak je należy dalej prowadzić. Zarobku większego, jak w Ameryce, nie znalazłby on nigdzie. Najwięcej naszych ludzi zdobyło roboty w Iroy i Jersey City w fabrykach. Pracowity człowiek po potrąceniu kosztów utrzymania zaoszczędza 400 — 600 złr. rocznie; pieniądze te posyła łemko do domu, aby albo gospodarstwo swoje powiększyć lub ulepszyć, albo, jeśli tego nie potrzeba, dać komu na pożyczkę. Dziennie zarabiają łemki w Ameryce 2 — 2½ dolara. Toż nie dziw, że każdy u nas chce teraz iść do Ameryki. Nawet kobiety tam spieszą. Te wprawdzie nie robią w fabrykach, ale zajmując się gotowaniem i praniem dla naszych ludzi mogą zarobić kilkadziesiąt dolarów miesięcznie. Z listów łemków, pisanych z Ameryki, pokazuje się jednak, że robota tam nader ciężka. Oto co jeden z nich pisze: *Jesłyby u nas lude tak robyły, jak w Ameryci, to i na kameny rodyłoby sia.*"

KRONIKA BIEŻĄCA.

Zjazd górników odbywa swe posiedzenia w Warszawie.

Powiększenie wpisu szkolnego nastąpiło również w gimnazyum kieleckiem z 12 rs. półrocznie do 20 w klasie wstępnej i z 20 do 30 w innych.

Klub adwokatów zawiązał się w Krakowie celem wzajemnego porozumiewania się i „przestrzegania godności stanu adwokackiego." Widocznie zachodziła potrzeba...

Doktoryzacya. P. Aleksander Raciborski, poseł na sejm krajowy, otrzymał na lwowskim uniwersytecie stopień doktora fakultetu filozoficznego. Dr. Raciborski zamierza podobno habilitować się na docenta filozofii tejże wszechnicy i rozpocząć wykłady przedmiotu, dającego nazwę fakultetowi, którego jednak już od roku nikt we Lwowie nie uczy! (Dr. Ochorowicz został, jak wiadomo, formalnie wypędzony stamtąd, Skrochowski uznał za stosowne cofnąć się do Krakowa z swoją krakowsko-katolicką filozofią, a dr. Czerkawski, no, ten za wiele posiada mandatów poselskich, aby mógł filozofię jeszcze wykładać.. Świeżo jednak zostało mu przyznanem wynagrodzenie w kwocie 800 zlr. za „gorliwe" spełnianie obowiązków nauczycielskich!)

Centralna biblioteka. W Petersburgu ma powstać biblioteka, która na wszelkie żądania i pod warunkami bardzo przystępnymi wysyłać będzie dzieła rozmaitej treści osobom na prowincyi zamieszkałym, drogą zwykłego abonamentu.

Bawełna. Zbiór bawełny w Ameryce w roku ubiegłym był najobfitszym z dotychczas znanych, wynosił bowiem 7,000,000 bel, podczas gdy w r. 1881 doszedł tylko do 5,436,000, w r. 1880 — 6,589,000, a w 1859 — 4,861,000 bel.

Bibliografia polska. J. W. Goethe *Faust*, przekład J. Paszkowskiego, Kraków.

— Dr. T. Dydyński *Słownik łacińsko-polski* do źródeł prawa rzymskiego, Warszawa.

— Z. Sarnecki *Różni ludzie*, nowelle i obrazki, Kraków.

— S. Sobieski. *Wspomnienia dawnego studenta*, Warszawa.

— Or. J. Scherr. *Historya literatury powszechnej*, przekład B. Zawadzkiego, tom II, zeszyt 3, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— Herbert Spencer *Szkice filozoficzne*, Warszawa.

— A. Krausbar *Siedmiolecie Szkoły Głównej Warszawskiej* (wydział prawa i administracyi). Warszawa, Gebethner i Wolff.

— S. Dickstein *Arytmetyka w zadaniach*, Część I, Warszawa, 1883.

— Dr. St. Starzyński *Uwagi o prawnej stronie równouprawnienia narodowości w Austryi*, Lwów.

— *Pamiętniki jenerała Wybranowskiego*, Lwów.

Bibliografia niemiecka. Caspari. *Herm. Lotze* in seiner Stellung zu der durch Kant begründeten neuesten Geschichte der Philosophie. Wrocław, 1883 w 8 ce, 3 marki. Stosunek Lotzego do filozofii Hegla, Herbarta i Kanta; krótka krytyka jego systemu.

— *Shakespeare-Galerie*. 36 stalorytów Makarta, H. Hofmanna, Spiessów i i. z tekstem Pechta. Wyd. 2. 4-a, 1882, cena całego dzieła 48 marek (12 zeszytów). Ryciny znakomite.

— Nisikânta Chattopâdyâya. *Indische Essays*. Zurych, 1883, str. 136, w 8-ce, 4 marki. Zbiór odczytów i artykułów rodowitego indyanina: o widowiskach ludowych w Bengalu; Minajew i literatura sanskrycka (z powodu szkicu, napisanego przez M. do rosyjskiej historyi literatury powszechnej Korscha); buddyzm i chrześciaństwo; nirwana; przyczyny ubóstwa Indyj.

— Michelet *Herbert Spencers System der Philosophie* und sein Verhältniss zur deutschen Philosophie. Hala 1881, str. 28, w 8-ce, 1 m. 20 fen. Z dodatkiem dyskusyi, która się po tym odczycie M. w berl. tow. filozof. wywiązała.

— Perty. *Ohne die mystischen Thatsachen keine erschöpfende Psychologie*. Lipsk. 1883, str. 65 w 8-ce w. 1 marka.

— Peters. *Willenswelt und Weltwille*. Studien und Ideen zu einer Weltanschauung. Lipsk, 1883, str. 404 w 8-ce w. 8 marek.

— Rehmke. *Der Pessimismus und die Sittenlehre*. Lipsk, 1882, 130 str. w 8 ce w., 1 m. 60 fen. Autor prawie jednego poglądu jest z Hartmannem, lecz oczyszczonej religijności większy od niego wpływ na szczęśliwość przyznaje.

— Schneidewin. *Drei populär-philosophische Essays*. 1) Schopenhauer i Hartmann, porównanie systemów i osobistości. 2) Steudel. 3) Hasło z Fausta ku rozwiązaniu trudności żywota dzisiejszego. Hameln, 1883, str. 52 w 8-ce w. 75 fenigów.

Zmarli. Józef Majewski, długoletni kierownik *Biblioteki Warszawskiej* i członek Sądu Okręgowego.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Dob. w Petersburgu. Szkoda, że Pan nas nie uwiadomił natychmiast po odebraniu 52 nr. *Prawdy*. Dziś tylko na tem miejscu sprostować możemy, iż w spisie abonentów *Ogniska* zamiast Dobrzyński winno być *Doboszyński*, a zamiast Smaczyński — *Zmaczyński*. Częstokroć, mimo wszelkich usiłowań, trudno odczytać podpisy w listach.

P. W B. w Petersburgu. O wyjściu książki *Męczennicy myśli* zawiadomimy w *Prawdzie*, a zawiadomimy wkrótce. gdyż jest ona na ukończeniu.

P. *Kl. Mar.* Co to nas obchodzi.

P. *Bern.* Bardzo dobry.

P. *Anieli B.* Wysłano.

Sprostowanie. do „Ogniska." Skutkiem niemożności prowadzenia korekty przez autora, wkradły się do artykułu p. A. G. Bema następujące omyłki: str. 258 w. 7 od góry zamiast XVII czyt. *XVI*, str. 259 w. 4 zam. barwę czyt. *larwę*, w. 16 zam. występną czyt. *wstrętną*, w. 11 od góry zam. w ukryciu czyt. *w kryciu*, str. 262 w. 1 i 2 czyt. „nie otwierał*by*, *gdyby* nie było wiadome;" str. 263 w. 3 i 4 zam. Kochowskiego czyt. *Kochanowskiego* a zamiast Kochanowskiego czyt. *Kochowskiego*; w. 3 od dołu zamiast Drwił czyt. *drwi*; str. 265 w. 8 od góry zam. litewskich czyt. *literackich*, w. 6 od dołu zam. w epoce czyt. *w epice*; str. 271 zam. z relikwią czyt. *z religią*.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 21 Января 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.